

Sam oglądam się na eskapadę ulińską zawsze z uczuciem dumy i radości. Radości dlatego, że rzadko podczas wojny przeżyłem tyle wrażeń i że nigdy już nie postawiłem na kartę dla osiągnięcia celu tak dużo, jakem zaryzykował 9 listopada. Nie chcę być źle zrozumianym. Nie idzie tu o ryzyko dla ryzyka, o rozkoszowanie się ryzykanctwem, idzie o to, że wojna i wszystkie zjawiska wojenne są połączone z ryzykiem nie fizycznym jedynie, związanym ze śmiercią — jest to ryzyko żołnierskie — lecz ryzykiem przegranej, ryzykiem nieosiągnięcia zamierzonego celu — jest to ryzyko każdego dowódcy. I jeżeli nie sądzono mi zaznać ryzyka wielkich przedsięwzięć wojennych, to na swoją skalę zaryzykowałem podczas Uliny prawie wszystkim. Dla celu, który uznałem za godny tego, postawiłem na kartę swej umiejętności, zdolności, jednym słowem na siebie, prawie wszystko, co miałem najdroższego — to, co uważałem za zawiązek wojska polskiego.

Z dumą zaś patrzę na Ulinę dlatego, że powziąwszy postanowienie zupełnie samodzielnie, bez odpowiedzialności przed kimkolwiek, nie cofnąłem się do końca przed jego przeprowadzeniem, pomimo, iż trudności spiętrzały mi się na każdym kroku, a ryzyko z każdą chwilą zwiększało się do niemożliwości. Otwarcie też wyznaję, że dopiero po Ulinie zacząłem sobie ufać i wierzyć w swoje siły. I być może właśnie dlatego słyszałem nieraz potem słowa moich żołnierzy: — Teraz za Komendantem pójdziemy wszędzie! Jeżeli on nas wyprowadził z Uliny, to już jesteśmy spokojni!

Był to więc jakby mój egzamin, który złożyłem zarówno przed sobą, jak przed żołnierzami.

Skończono w Magdeburgu, w więzieniu, dnia 7 września 1917 r.

## LIMANOWA — MARCINKOWICE

Wielka, historyczna bitwa pod Limanową zaczyna się dla świata coś koło 8 grudnia, dla mnie i dla mego oddziału rozpoczyna się daleko wcześniej, mianowicie — od 20 listopada. W ogólnym położeniu bowiem militarnym olbrzymich frontów i milionowych zapasów początki tej bitwy względnie niewielkie miały znaczenie dla obu stron walczących. Niewielkie też ilości wojska brały tam udział — parę dywizji kawalerii, trochę armat, wreszcie dziwna mieszanina wszelkiego rodzaju drugorzędnych formacji, które to zjawiały się na froncie, to znów znikwały, ustępując miejsca innym. Ja z mymi trzema batalionami, kawalerią, w końcu artylerią walczyłem cały czas





mniej więcej w tej samej okolicy — pomiędzy Dobrą—Jurkowem, Dunajcem, od Nowego Sącza do Marcinkowic; osłaniałem z jednej strony kolej Sucha—Mszana Dolna, po której szły raz wraz nowe transporty wojskowe, austriackie i niemieckie, z drugiej strony stanowiłem osłonę od wschodu, od Rosjan, flankujących wojska, idące frontem na północ, na Bochnię—Tarnów.

Oryginalnym był wówczas ten front, w schody wylamany! Pod Krakowem Austriacy starali się złamać południowe skrzydło Rosjan, walczących pod Pilicą i Krzywopłotami, z frontem na zachód. Moskale od Bochni znowu napierali na wschodnią flankę swych nieprzyjaciół, na tych zaś znowu od południa robiły nacisk mieszane austriacko-niemieckie wojska. Moskale od Dunajca szukali ich skrzydła przez nacisk na Limanową i Dobrą i znowu armia gen. Boroewica od Węgier parła na północ ku Nowemu Sączowi, by oskrzydlić ruch Rosjan na wschód pod Limanową. Ostatecznie, jak wiadomo, pod Limanową i Nowym Sączem te wszystkie wzajemne oskrzydlenia się skończyły się porażką Rosjan i front ich w Królestwie i Galicji cofnął się na wschód, na linię Dunajca i Nidy.

Historia wielkiej wojny nazywa więc bitwą pod Limanową te ostatnie zmagania się dobrych paru setek tysięcy wojaków wśród podhalańskich gór koło Limanowej i Nowego Sącza. Dla nas zaś, powtarzam, bitwa pod Limanową rozpoczęła się wtedy, gdy teren przyszłych wielkich bojów był prawie pustym i gdy w grę z jednej i z drugiej strony wchodziła prawie sama kawaleria. Jedyną piechotą przez dłuższy czas były w tym miejscu moje trzy, bardzo zresztą liczebnie słabe, bataliony.

Nie mając obecnie w swym posiadaniu żadnych źródeł, któreby mi pozwoliły przedstawić nasz udział w całej bitwie limanowskiej, nie będę się kusił o jakikolwiek ścisły tych bojów opis. Traktować je będę tylko epizodycznie, jako wstęp do właściwego tematu, do boju naszego 6 grudnia pod Marcinkowicami, który to bój jest najjaskrawszym epizodem naszego, jak go nazywam, tańca koło Limanowej.

Dnia tego byliśmy sami — niewielka garstka — wobec ogromnej przemocy nieprzyjacieli. Osobiście zaliczam dzień ten do najcięższej przeżytych w ciągu wojny. Wspominać takie dni jest najprzyjemniej, analizować ich przeżycia najużyteczniej. Nasz bój pod Marcinkowicami z posuwającym się na wschód VIII korpusem rosyjskim był właściwie wstępem do ostatecznych bojów pod Limanową. Po raz pierwszy wtedy na to pole bitwy wystąpiły do boju wielkie masy wojskowe.

Po wyjściu z Uliny do Krakowa, jak to już opisywałem, okazaliśmy się całkiem zbytecznymi dla obrony prastarej stolicy. Uznano, zdaje się, że nasz pobyt w Krakowie byłby nawet po prostu szkodliwym. Pozbyto się więc nas stamtąd możliwie prędko, bez wielkich formalności i ceremonii. Zresztą pobyt w Krakowie istotnie byłby przykry. Stosunki wojskowe mniej więcej przypominałyby stosunki w I korpusie, a masowa ewakuacja z fortecy doprowadziła miasto do zupełnej jakiejś prostracji. Ani śladu nie znalazłem tego żywego tętna życia, które było w początku wojny. Polacy dali się po prostu wykopać ze swej stolicy i miasto miało jakiś charakter niepolski — raczej czesko-niemiecki — wobec ogromnego napływu wojska i jego instytucyj. Użyłem więc wszystkich możliwych wybiegów, aby zostać na Podhalu, gdzie według swego zasadniczego planu chciałem umrzeć ze swoim oddziałem, broniąc zarówno honoru żołnierza polskiego, jak i ostatniej piędzi ziemi polskiej przed najazdem.

Starania o pozostawienie mnie na Podhalu poszły mi nadspodziewanie łatwo. Po pobycie w głównej kwaterze pojechałem jeszcze do Zagłębia, by tam dać raz jeszcze instrukcje pozostałym batalionom i artylerii. Zawiadomiłem je, że idę gdzieś pod Mszanę Dolną, uważam jednak jako swoje tyły Nowy Targ, gdzie postaram się ostać i gdzie musi nastąpić zbiórka całego mego oddziału. Popędziłem potem automobilem do Makowa, gdzie zebrały się moje trzy bataliony i kawaleria po tygodniowym odpoczynku w Zawoi. Oddział był w stanie ciężkim pod względem gospodarczym. Mundury poszarpane, bez taborów i kuchni. Rozpoczęto dopiero teraz starania o usunięcie tych braków, a tu czas naglił. Z głównej kwatery zjawił się kapitan sztabu, który zapowiedział, że natychmiast ma nastąpić wyjazd koleją do Mszany Dolnej, a stamtąd marsz na Dobrą, na pomoc korpusowi kawalerii gen. Nagy, który znajdował się wobec przemożnego jakoby nieprzyjaciela. Korpus ten składał się z dwóch dywizji kawalerii: — 6. i 2. honwiedzkiej.

Piechotę wyprawilem koleją, kawaleria ruszyła konno, a ja z Szefem wyjechaliśmy automobilem. Jechaliśmy wzdłuż tak dobrze mi znanej drogi do Zakopanego, na Jordanów, Chabówkę. Po drodze, gdziekolwiek się zatrzymywałem, spotykałem panikę z powodu zbliżającego się nieprzyjaciela. Jakies dziwaczne niewiarygodne pogłoski o jego posuwaniu się naprzód wywoływały wszędzie atmosferę nerwową i naprężoną. Te same «nerwy», skłonne dać wiarę wszystkiemu, co tchnie pesymistyczną oceną sytuacji, spotykałem u wojskowych, u kolejarzy, u t. zw. inteligencji. Wzruszano ramionami,

gdyśmy mówili, że idziemy do Dobrej, która, jak przecie z pewnością wiadomo, jest w rękach Moskali. Spodziewano się Rosjan lada chwila w Jordanowie, widziano ich jakoby pod Nowym Targiem. Panował jakiś nastrój, pełny paniki i przerażenia, jakaś dziwna skłonność do dawania wiary pogłoskom najmniej prawdopodobnym. Co do mnie, «nerwów» na wojnie nie znoszę i starałem się zawsze, zarówno siebie, jak i swoich podwładnych, wychować w «spokoju», chociażby niekiedy przesadnym. Ale niewątpliwie cała ta atmosfera paniki nie mogła zmienić mej pesymistycznej oceny sytuacji ogólnej, oceny, z którą wyszedłem z ostatniej bitwy pod Dęblinem i z odwrotu pod Kraków. Tym mocniej, tym silniej układałem w głowie plany «hekatomb» podhalańskie.

Tym razem jednak nasz pierwszy występ na nowym teatrze wojny miał być tryumfem, który na długo zapewnił nam szacunek otoczenia. Rzecz się tak miała.

Wraz z wcześniej zapadającym wieczorem chwycił mróz coraz silniejszy. Kawaleria, mając konie lekko podkute, posuwała się bardzo powoli po śliskiej do niemożliwości szosie. Patrol jeden skierowałem na Nowy Targ wobec dzikich pogłosków, że tam jakoby mają być Moskale. Gdym przyjechał do Mszany Dolnej, piechota moja już dawno stamtąd ruszyła do Dobrej, popędzana mrozem. W Mszanej dowiedziałem się, że w Dobrej stoi już część 6 dywizji kawalerii austriackiej, lecz gdzie są generałowie 6 i 2 dywizji, u których miałem się meldować, nikt mi tego wyjaśnić nie był w stanie. Pojechałem do Dobrej. Dopędziłem swoją piechotę u początku wsi, w miejscu, gdzie od szosy odchodzi droga na południe do Jurkowa. Wojsko stało na mrozie, nie wiedząc, co czynić. Miałem kwaterować w Dobrej, lecz kwatermistrze już stamtąd wrócili, zapewniając, że cała wieś jest zajęta i chyba gwałtem da się jakąś część oddziału wcisnąć. Wiedziałem z góry z doświadczeń z I korpusem, co to znaczy! Grubiańskie kłótnie o każdą chatę, obojętny albo wręcz wrogi stosunek w tych wypadkach władzy. Do tego w tej chwili musiałbym mieć do czynienia z kawalerią, która, mając konie, rozkwaterowuje się szeroko. — Dziękuję za taką przyjemność! — pomyślałem.

Wszedłem do karczmy, aby się rozmówić z oficerami i na mapie rozejrzeć się, jak zaradzić złemu. Nie mogliśmy przecież stać całą noc na mrozie, który dochodził do 20 stopni, od górskich zaś dolin szedł zimny przenikliwy ciąg, co jeszcze bardziej powiększało chłód. Chłopcy rozpalili ognie i gwałtownie tupali nogami, skakali, uderzali rękami o biodra na rozgrzewkę.

W karczmie było pełno ludzi, duszno i gwarno. Górale, żołnierze, oficerowie, wszystko to paliło, rozprawiało, wchodziło i wychodziło. Od razu dowiedziałem się, że Jurków nie jest przez wojsko zajęty, dalej, że w Chyżówkach pokazali się dzisiaj pod wieczór Moskale. O sile ich nikt nie mógł mnie dokładnie poinformować, ale z ogółu danych wywnioskowałem, że ilość ich jest względnie niewielka. Zresztą i przypuszczać nie mogłem, by do tak zapadłej dziury, osobliwie, gdy Dobra była zajęta, wtłoczono większą ilość wojska. W każdym razie dla wojska w Dobrej nie było to wygodnym mieć tuż obok Moskali. Zdecydowałem więc od razu, że V i I bataliony rozlokują się w Jurkowie, III i II \*) w Chyżówkach. Uprzedziłem obu dowódców batalionów, by byli ostrożnymi, i idąc do Chyżówek, wzięli z sobą przewodników miejscowych, a Śmigłemu, doganiającemu swój batalion, wypowiedziałem swoje przeczucia, że o nocleg będzie musiał pewnie walczyć z Moskalami.

Istotnie. Okazało się, że w Chyżówkach nocuje cały szwadron ułański. Ułani rosyjscy źle pełnili służbę forpocztową; moi chłopcy, prowadzeni przez górali, bardzo zręcznie obstawili wieś tak, że w nocy wzięto do niewoli cały szwadron z pięcioma oficerami. Straty nasze tej nocy były minimalne — jeden żołnierz zabity, drugi ranny, dziwnym trafem dwaj bracia. Ułani rosyjscy też mieli strat mało, coś kilku zabitych i rannych. Zaskoczeni zniecka, po bardzo krótkim oporze, gromadnie się poddali. Uciekło tylko zaledwie kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów; jednego z nich zresztą w dwa dni potem ujęto.

Przy ówczesnym nerwowym nastroju tego frontu sukces nasz był tryumfem nielada, zwłaszcza, że wypadki wzięcia do niewoli całych jednostek jazdy zdarzają się w ogóle rzadko, a dokonaliśmy tego właśnie na oczach korpusu kawalerii. Tryumf nasz był tym większy, że — jak się okazało z badań jeńców — szwadron ten był specjalnie dobrany z całego pułku ułanów rosyjskich. Dano mu najlepsze konie, względnie dużą liczbę oficerów, wreszcie doborowy materiał ludzki. Szwadron wysłano naprzód z rozkazem, by dotarł do Mszany albo i dalej, sprawdził niejasne wiadomości, które doszły gen. Dragomirowa, dowodzącego dywizją jazdy rosyjskiej, o ruchu wojsk austriackich, i by wreszcie zepsuł kolej Sucha—Mszana Dolna.

\*) Batalion II wrócił świeżo z nadzwyczaj nużącej eskapady z 79-tą dywizją jazdy austriackiej pod Modlin i Warszawę. Miał tak małe liczebne stany i tak był przemęczony, że go odesłał po Chyżówkach jak najprędzej jako chorych do Nowego Targu, gdzie i sam spodziewałem się wkrótce znaleźć.

Nie brałem osobistego, bezpośredniego udziału w tym epizodzie zagarnięcia szwadronu do niewoli. Nie będę więc wchodził w szczegóły tej akcji, gdyż zgodnie z planem swojej pracy chcę trzymać się metody czysto pamiętnikowej, mając na usługi, przy braku źródeł pod ręką, jedynie swą pamięć.

Dowodzili pod Chyżówkami z początku Wieczorkiewicz i Wilczyński, w końcu Śmigły. Utkwił mi w pamięci jeden szczegół tej akcji, gdyż był przedmiotem rozlicznych rozmów moich żołnierzy i oficerów. Jeden z oficerów rosyjskich, zaskoczony znienacka u progu swej kwatery, poddał się, lecz nie został przez chłopców ani zrewidowany, ani odprowadzony do miejsca zbiórki jeńców. Gdy inni żołnierze nadeszli, wyjął rewolwer i strzelił kilka razy do napadających. Jednego z nich zabił, drugiego ranił — byli to owi dwaj bracia, o których, mówiąc o stratach, już wspomniałem — i, korzystając z ciemności, uciekł z innym oficerem, pomimo, że posypały się za nim gęsto kule. Żołnierze, idąc przy świetle za śladami po śniegu, znaleźli obu w jakimś górskim wąwozie, z którego jeden z uciekających — otyły sztabs-rotmistrz — nie mógł się wydostać. Niektórzy żołnierze prosili mnie, abym kazał rozstrzelać oficera, który zabił ich kolegę, gdyż użył on broni już po poddaniu się. Naturalnie, ani przez głowę nie przeszła mi myśl podobna, gdyż każdy z nas postąpiłby tak samo, wykorzystując gapiostwo jednych, którzy oficera, nie odebrawszy mu broni, zostawili bez opieki, i brak sprytu drugich, którzy jeńca z rąk wypuścili. Ba, każdy właściwie musiałby pochwalić takiego oficera za mężne zachowanie się wobec przemocy nieprzyjacielskiej i za próbę połączenia się ze swoimi, gdy doła inni jego koledzy masowo się poddawali.

Gdy stanął rano kwaterą na plebanii w Jurkowie, miałem od razu mnóstwo roboty. Naprzód musiałem zbadać jeńców. Wśród nich była spora garstka Polaków, którzy chętnie rozwiązywali języki w otoczeniu rodaków. Zreszta nie potrzebowałem się uciekać do ich patriotycznych uczuć, żołnierz bowiem rosyjski w ogóle rzadko nie mówi prawdy, będąc pytany przy badaniu. Jest w nim jakby bezwiedne posłuszeństwo dla każdej danej władzy, a gdy się do niego mówi jego własnym językiem i formułami wojskowymi, do których jego ucho jest przyzwyczajone, zapomina on o tym, że nie mówi przed własną komendą. Najczęściej jednak żołnierze rosyjscy mało są rozgarnięci i niewiele interesują się sprawami wojny, tak, że bardzo mało można się od nich dowiedzieć poza ciasnym kołem ich wiadomości o własnym pułku czy batalionie. Już znacznie sprytniejsi i znacznie więcej z tego powodu wiedzą



Polacy, najbardziej zaś Żydzi, którzy z przyzwyczajenia zawsze wszędzie węszą i mają ciekawe oczy i uszy. I teraz więc, badając jeńców, bardzo szybko wyciągnąłem od nich te wiadomości, których mogli mi dostarczyć. Kwestii zaś najbardziej interesującej, czy poza dywizją Dragomirowa jest i piechota przed nami, nikt z nich, gdyby nawet chciał, nie mógł mi wyświetlić.

Po Chyżówkach nie potrzebowałem się meldować u swoich generałów. Ciekawość ich paliła. Już rano przyjechał do mnie komendant dywizji 6-ej. Tego brała trochę zazdrość. Jego oficer sztabu chciał nawet część zasługi wzięcia szwadronu do niewoli przypisać swojej dywizji, powołując się na raport jakiegoś patrolu austriackiego, nadeszły jakoby do Dobrej, a mówiący o tym, że nieprzyjaciel znajduje się w Chyżówkach. Oficer ten chciał wmówić we mnie, że od tego patrolu dowiedziałem się jakoby o Moskalach i dlatego właśnie skierowałem swój batalion do Chyżówek. Zaprzeczyłem temu najstaranniej. Wysłałem swe oddziały do Chyżówek jedynie dlatego, że wydawało mi się rzeczą nieco nieostrożną nocować spokojnie w Dobrej bez zabezpieczenia się od równoległe biegnącej górąmi drogi, prowadzącej od Limanowej przez Chyżówki do Jurkowa. Co prawda, była to dzika górską droga, ale jednak, jak się okazało, możliwa nawet dla kawalerii. Zaraz potem zjawił się u mnie generał Nagy, dowódca całego frontu pod Limanową. Powinnował mi powodzenia i zaczął rozpytywać o stan wojska. Okazał się człowiekiem bardzo miłym i, co rzadko dotąd spotykałem, zupełnie nieuprzedzonym do takiej formacji, jak Legiony. Bardzo być może, że był to wpływ jego węgierskiego pochodzenia. Wzruszał ramionami, gdy się dowiedział, że nie posiadamy karabinów maszynowych, telefonów, ani dostatecznego wyekwipowania. Obiecał o wszystko się postarać, tym czasem zaś miał nam przykomenderować karabiny maszynowe i artylerię ze swojej węgierskiej dywizji. Zawsze dotąd wspominam ze szczerą wdzięcznością tego generała, którego stosunek był poprostu odetchnięciem od zupełnie nienormalnych stosunków dotychczasowych z Austriakami. Zarówno karabiny maszynowe, jak górskie armaty, przyszły nazajutrz, ale o tym potem. Natomiast zgodnie ze zwyczajem austriackim została zachowana absolutna tajemnica co do celu działania tak mego oddziału, jak i innych wojsk. Pozostawiono to zupełnie memu własnemu domysłowi i samodzielnym hipotezom. Od tego czasu datuje się zwyczaj, który wprowadziłem u siebie w wojsku, że poza wywiadami na nieprzyjaciela prowadziło się stale i systematycznie patrolowanie i w stosunku do

otoczenia. Był to często jedyny sposób zorientowania się w tym, co się dzieje naokoło.

Wieczorem tego dnia wobec tego, że jedynym na razie moim zadaniem było pilnowanie «defilé» górskiego w Chyżówkach, zaprosiłem do siebie na kolację pięciu wziętych do niewoli oficerów rosyjskich. Żał mi było, jako żołnierza, rotmistrza, dowodzącego szwadronem. Musiał być porządnym człowiekiem, gdyż żołnierze jego bardzo się cieszyli, że mu się nic złego tej nocy nie stało. Był przygnębiony trochę, chociaż starał się tego nie pokazywać po sobie. Miał jakieś polskie nazwisko, choć był Rosjaninem, i stał kiedyś dłuższy czas z pułkiem w Królestwie, we Włocławku. Oficerowie jego byli mniej sympatyczni, ot — zwyczajni oficerowie rosyjscy. Sztab mój składał się z samych Królewaków, więc — choć z obrzydliwym akcentem — mówili po rosyjsku. Powoli, gdy pierwsze lody po kilku wódkach stopniały, zaczęli o przykry temat, o nocny wypadek w Chyżówkach. Chciałem znaleźć wytłumaczenie, jak to mogło się stać, że szwadron cały tak od razu dał się opanować i bez strat prawie zagarnąć. Rotmistrz dał mi mniej więcej następujące wyjaśnienie:

Był wysłany jako szwadron wywiadowczy, szedł szosą przez Limanową na Dobrą, tu znalazł drogę zajętą: chcąc ominąć przeszkodę, wciągnął się do Chyżówek górską drogą, nie przypuszczając, by na niej mógł spotkać kawalerię austriacką, gdyż droga nie była wcale dla jazdy stworzona. Noc była bardzo zimna i ciemna, tym mniej przypuszczał, by go zaskoczono. Wiedział przecie, że ma przed sobą jedynie kawalerię austriacką, o której nie miał dobrej opinii i nie sądził, by się zdobyła na inicjatywę. Gdyby był wiedział, że może spotkać piechotę, byłby ostrożniejszy. Wobec tego, że górskie wsie są rozrzucone, nocował w kilku grupach, które samodzielnie wystawiły po kilka posterunków. W nocy nagle usłyszał strzały, żołnierze zaalarmowani zaczęli strzelać po ciemku, nie mając żadnego widocznego celu. I wtedy z kilku stron usłyszał rosyjskie połajanki, wymawiane tak bez zarzutu dobrze, że w tej grupie, gdzie on był, wszyscy osądzili, że to są swoi — Rosjanie. Wobec tego zaprzestano strzelać i nagle spadła na nich nawała, idąca na bagnety. Działo się to tak szybko, że nim się obejrzał, już żołnierze jego się poddali i on sam nie miał nic innego też do zrobienia.

— «Wot bieda — dodał poważnie — bolno artisticzeski waszi riebiata rugajutsia!» (W tym bieda, że pańscy chłopcy zanadto artystycznie klną!)

Myslałem, że umrę od wewnętrznego śmiechu, gdym usły-

szął, czemu właściwie zawdzięczam powodzenie! Niesłychany i całkiem nowy pomysł dla taktyki!

Najzabawniejszym było jeszcze to, że przy tej całkiem rosyjskiej kolacji jednym z usługujących ordynansów był też Rosjanin — niejaki Chmielow. Był on wzięty przez nas pod Krakowem do niewoli i razem z kilku innymi prosił, by go pozostawiono u nas i nie odsyłano do obozu jeńców, gdzie, jak słyszał, warunki życia są nadzwyczaj ciężkie. U nas zaś strasznie mu się spodobało, bo — jak mówił — takiego generała jeszcze nie widział, który nigdy nie łaje i nie bije i z którym każdy żołnierz swobodnie, bez obawy mówić może. Sądziłem, że teraz, gdy zobaczy swoich żołnierzy i oficerów, zechce dzielić już dalej losy z nimi. Nie! Poprosił, by go pozostawiono i by przy oficerach z wziętego szwadronu nie mówiono do niego po rosyjsku. Sam zaś przy usługiwaniu starał się wplatać parę słów polskich, których się już zdążył nauczyć. Nazajutrz odesłałem jeńców na tyły.

Z pomiędzy siedmiu oficerów z szwadronu wziętego do niewoli, pięciu ujęto, dwóch uciekło. Jednego z nich złapano na trzeci dzień w oryginalnych okolicznościach. Ruszyliśmy już byli naprzód i, przeszedłszy Chyżówki, długą górską wiošczynę na przełęczy pomiędzy górami Łopień i Mogilnica, spuściliśmy się na dół do Słopnic Królewskich. Tam rano na krzyk jakiejś baby, że jest u niej Moskał, złapano młodego człowieka i przyprowadzono go do mnie. Był to ładny, młody dwudziestoletni chłopak, o dużych czarnych oczach, miał na sobie cywilne palto i kapelusz, jakąś kurtkę, a obok tego łańskie spodnie i buty. Przy rewizji znaleziono u niego notatnik z zapisami, świadczącymi o tym, że przez cały czas od nocy w Chyżówkach śledził ruch na szosie i notował każdy oddział. Przy badaniu okazało się, że wdarł się on na górę, gdzie znalazł jakiś szałas i przesiedział tam o głodzie i chłodzie cały dzień, robiąc notatki i pilnie śledząc wszystko, co się naokoło działo. Teraz przedzierał się do swoich ze swymi spostrzeżeniami. Zaszedł zaś do chaty, bo był głodny, i dawał trzy ruble babie za posiłek, lecz ta narobiła wrzasku i biedny trafił do niewoli. Podobała mi się ta brawura i to spełnienie obowiązku aż do końca, nawet wtedy, gdy oficerek został sam i to po ciężkiej porażce swoich. Nie pytałem go więc już o to, skąd wziął ubranie cywilne, i chcąc go uchronić od rozstrzelania, jako szpiega, bo przyłapanego w cywilnym odzieniu, kazałem wyszukać u chłopców szynel żołnierski i czapkę, umundurowałem go z powrotem i odesłałem na tyły. Wychodząc, dziękował mi za to, dodał jednak: — Ale za to, że mnie pan wziął do

niewoli, nie dziękuję, nie! Byłbym na pewno miał order świętego Jerzego!

Ten order pewno otrzymał siódmy oficer szwadronu, jakiś Kaukazczyk, który uciekł i przedarł się do generała Dragomirowa z przykrą wiadomością, że jego wyborowy szwadron został w całości wzięty do niewoli. Po kilku dniach zostało wziętych znowu kilku, tym razem dla odmiany, huzarów z dywizji tegoż generała. Ci opowiadali mi, że Dragomirow, wściekły z powodu wypadku w Chyżówkach, miał powiedzieć: — «Jeżeli moi oficerowie nie umieją prowadzić szwadronów, to — niestety — ja, komendant dywizji, muszę jeździć na patrole!»

I jakoby istotnie ruszył z pierwszym patrolem ku nieprzyjacielowi.

Żałuję doprawdy, że nie prowadził on właśnie tego huzarskiego patrolu, z którego wzięliśmy jeńców, miałyby sposobność przekonać się, czy dowodziłby nim mądrzej, niż ten oficer, który przypłacił życiem swą nieostrożność. Było to w kilka dni po wzięciu w Chyżówkach szwadronu ułanów. Zdążyliśmy przez ten czas przetańczyć swego kontredansa: byliśmy pod Limanową, cofnęliśmy się do Jurkowa i znowu miałem pilnować przejść przez góry na południe od szosy Dobra—Limanowa. W Chyżówkach stał powtórnie III batalion, zajmując pół wsi, zbliżonej do Jurkowa, mając po obu stronach wsi okopy. Chyżówki dalej ku przełęczy i przełęcz sama nie były przez nas zajęte, tylko od czasu do czasu chodziły tam patrole. Przy wyjściu doliny Chyżówek do poprzecznej szerszej doliny, w której leżał Jurków, miałem postawione cztery górskie działa. Pod wieczór żołnierze spostrzegli, że po spadzistej drodze od przełęczy zbliżają się jacyś konni. Był to ów patrol huzarski, prowadzony przez oficera.

Teren tamtejszy górzysty z raptownymi spadami, z mnóstwem stromych wąwozów, z górami, silnie zalesionymi, nie nadaje się w ogóle dla działania jazdy, teraz zaś jeszcze listopadowa gruda lub gołoledź czyniła działania kawalerii jeszcze trudniejszymi.

Patrol, liczący 7 koni, szedł wprost do Chyżówek, wsi z mnóstwem płotów, drogą wąziutką, ograniczoną zabudowaniami, mającą w dodatku z jednej strony urwisko, po którym poruszać się konno było niepodobieństwem. Była to lekko-myślność szalona — prowadzić tak patrol. Moi chłopcy wpuścili patrol do wsi bez strzału, chcąc wziąć wszystkich żywcem. Lecz na nieszczęście patrol naskoczył już we wsi na paru kręcących się tam żołnierzy i, spostrzegłszy ich, zawrócił konie i zaczął uciekać w górę ku przełęczy. Wówczas dopiero za-

często strzelać. Konie ubito, huzarów trzech padło, dwóch wzięto jako jeńców; jeden z nich był ranny, dwóch zaledwie uciekło, stoczywszy się wprzód do parowu obok wsi. Pomiedzy uciekającymi był i oficer, ranny w nogę. Pomimo pościgu nie został ujęty, lecz, jak dowiedziałem się później, dopadł do swoich. Tegoż dnia jednak umarł z upływu krwi i wycieńczenia.

Słyszałem od jeńców, że Dragomirow należał do tej szkoły, jak zresztą niejeden z generałów jazdy w początku wojny, która nie chciała uznawać żadnych przeszkód dla kawalerii, żadnych ograniczeń przy jej użyciu. Zabawnym wtedy było, że właśnie na tym najzupełniej dla jazdy nieodpowiednim terenie walczyła wówczas tylko kawaleria. Moje trzy słabe bataliony przez długi czas były jedyną piechotą na tym odcinku. Z tym samym niestosownym użyciem kawalerii miałem sposobność spotkać się jesienią następnego roku na Polesiu, gdzie na terenie nadzwyczajnie zalesionym, z mnóstwem mokradel i bagien, również wystąpiły do walki korpusy jazdy, względnie mało użytecznej w tych warunkach.

Wracam jednak do huzarskiego patrolu, którego historia zakończyła się dla mnie bardzo przykrą sceną. Do plebanii jurkowskiej przyprowadzono mi wziętych jeńców na przesłuchanie. Jeden z nich był całkiem zdrow, drugi leżał na wozie, napelnionym słomą, z przestrzeloną piersią. Podoficer, który ich przyprowadził, zameldował mi przy tym:

— Obaj są z Litwy, tak, jak Obywatel Komendant!

Istotnie! Ten, który wyszedł cało, był chłopem z pod Grodna. Na razie przy badaniu próbował żołnierskich sakramentalnych słów: «toczno tak, nikak niet, Wasze Prewoschoditelstwo». Lecz wkrótce, gdym zaczął mówić z polska po białorusku, stopniała na nim ta powłoka, zaczął mi mówić po swojemu, kłaniając się i tytułując, jak Pan Bóg kazał na wsi litewskiej: Panoczku. Dowiedziałem się od niego, że za przełęczą stoi cały pułk huzarów, na który natychmiast kazałem otworzyć ogień z moich dział.

Na pożegnanie mój rodak dostał herbaty i papierosów i, żegnając się już po swojemu: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — dodał:

— «Panoczku! a ten druhi, unteroficyr, znaczy się także hradnieński, ale z obywatelów, nie prosty».

Wyszedłem przed plebanie. Koło wozu stał doktor, który, salutując mi, zameldował:

— Ranny w piersi, już opatrzony, gotów do wysłania dalej.

Zbliżyłem się do rannego. Na wozie leżał młody, przystojny chłopiec o kulturalnych rysach twarzy. Twarz trochę

kurczyła się od bólu, oddychał ciężko, oczy zaś jego utkwione były we mnie z jakim pytającym wyrazem.

— Możecie mówić? — spytałem.

— Mogę, — odpowiedział — a czy mogę zapytać?

— O co idzie?

— Żołnierze mi mówili, że pan także z Litwy, czy prawda?

— Tak, jestem z Litwy, z Wileńskiego.

— Ja z Grodzieńskiego, nazwisko moje Stetkiewicz; wolno wiedzieć, jak pan się nazywa?

— Piłsudski. Miałem w gimnazjum w Wilnie kolegów Stetkiewiczów.

— Krewni — odrzekł z cicha. Łzy mu się zakręciły w oczach, szarpnął swój płaszcz i zakrył nim twarz całą.

Nie chciałem rozmawiać dalej. Było i mnie strasznie przykro, niedaleki byłem od łez. Odwróciłem się i odszedłem, pytając doktora o ranę. Rana nie była lekką, ranny trochę już gorączkował. Kazałem go natychmiast wyprawić do szpitala na tyły. Jeszcze przykrzej mi się zrobiło, gdym przejrzał papiery, znalezione przy rannym podoficerze. Był tam list od matki, świeżo otrzymany. List tchnął głęboką miłością matczyną i wielkim niepokojem o syna. Zarazem jednak zawierał parę rzeczy, które dla mnie były zupełną nowością w moich pojęciach o Litwie. Matka pisała, że wie z gazet, iż jest już pod Krakowem, więc prawdopodobnie dowodzi nim albo generał Ruzski, albo Brusilow, obaj bohaterowie, za których co dzień modli się w kościele za to, że obronili Litwę. Z pasją rzuciłem list na stół. Jeszczem dotąd żadnej dewotki na Litwie nie widział, modlącej się za Rosjan! Ale ta młoda twarz mego rodaka, ustrzelonego przez moich żołnierzy, dotąd mi stoi w oczach, jak żywe świadectwo ciężaru moralnego, który spadł wraz z wojną na Polskę i Polaków. Przeklęte skutki niewoli! Był to na szczęście jedyny wypadek tzw. bratobójstwa, widziany przeze mnie bezpośrednio. Może z tego powodu, a może dlatego, że dotknął mnie osobiście, jako Litwina i nieledwie znajomego ofiary, utkwiał mi ten przykry epizod tak żywo w pamięci.

Mieliśmy podczas całej wojny pod tym względem szczęście, że Polaków wśród nieprzyjaciół bezpośrednio przed sobą nie spotykaliśmy wcale.

Znam z opowiadań tylko jeszcze jeden wypadek zetknięcia się naszego z Polakami, ubranymi we wrogie nam mundury. Wypadek nie tragiczny tym razem. Gdyśmy maszerowali jeszcze na Dęblin, gdzieś koło Radomia prowadzono kolumnę jeńców rosyjskich. Moi chłopcy stali przy drodze i gapili się

na nich, czyniąc mniej czy więcej dowcipne uwagi. I nagle z kolumny rozległ się głos do nich:

— Stasiu, smarkaczu jeden, co ty tu robisz?!

Okazało się, że jednym z jeńców był rodzony ojciec mego młodocianego żołnierza.

Poza tym spotykałem Polaków z wojska rosyjskiego, ale jako jeńców, najczęściej dobrowolnie oddających się do niewoli..

Generał Nagy dotrzymał słowa. Nazajutrz po jego wizycie u mnie zameldowali się w Jurkowie por. Besermeny z dwoma karabinami maszynowymi, por. Meisner z czterema górskimi armatami i wreszcie, jako dodatek, rotmistrz honwedów Ulas ze szwadronem spieszonych — «speszonych», jak u nas mówiono — huzarów. Było to przykomenderowanie dla mnie i dla całego oddziałku całkiem nowym i nieznanym zjawiskiem. Obce wojsko, oddane do mego rozporządzenia, — to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie mogę powiedzieć, że mi to nie pochlebiło, choć na razie zrobiło dużo kłopotów. O ile względnie łatwym mi było dowodzić swoim wojskiem, gdzie prawie połowa podwładnych oficerów była moimi uczniami, a całe już wojsko moimi wychowankami wojennymi, których urabiałem według swojej woli i poglądów, o tyle teraz miałem mieć do czynienia, jako z podwładnymi, z oficerami, których urobiła inna szkoła. Uważała ona siebie za wyższą i lepszą i usposabiała swych wychowanków do bardzo krytycznego nastroju względem takich parweniuszów wojskowych, jakimi dla niej byliśmy my wszyscy. W dodatku przyszła konieczność używania obcego języka, którym się źle włada! Postanowiłem być na baczności. Z natury litewskiej, będąc podejrzliwym i nieufnym, wietrzyłem tarcia, skargi, chęć pozowania na nauczycieli, wreszcie, nauczony doświadczeniem w I korpusie, oczekiwałem nietaktownego i niekoleżeńskiego wykorzystywania swych przywilejów. Zdecydowany byłem stanowczo oprzeć się wszystkim próbom tego rodzaju i dlatego od razu bez ceremonii odkomenderowałem karabiny maszynowe pod dowództwo Śmigłego, rotmistrza Ulasa ze «speszonymi» huzarami pod komendę Bojarskiego, zostawiając sobie dowództwo bezpośrednie nad artylerią.

Obawy moje okazały się płonnymi. Trafiłem szczęśliwie na nadzwyczaj przyzwoitych ludzi, z którymi wkrótce ułożyły się stosunki bardzo dobrze. Obaj młodszy oficerowie, Besermeny i Meisner, okazali się bardzo dzielnymi żołnierzami i prędko nauczyli się cenić męstwo i spokój moich żołnierzy, a z oficerami mymi żyć w koleżeńskich stosunkach. Starszy zaś, rotmistrz Ulas, był to tak dobroduszny Węgier, nie wymawiający,

z powodu serdecznych wspomnień z czasów 1848 r., inaczej nazwisk Bema i Dembińskiego, jak z wojskowym ukłonem, że Bojarski miał w nim serdecznego przyjaciela.

Z początku, naturalnie, istniała wzajemna nieufność. Zarówno Besermeny, jak Meisner poprostu obawiali się, z czego potem już nie robili sekretu, że przy takiej piechocie jeden straci łatwo swe armaty, a drugi karabiny maszynowe. Istotnie doniesiono mi, że w nocy w obu przydzielonych oddziałach konie są posiodłane i większość ludzi na nogach. Gdy się to powtórzyło, rozgniewałem się. Są dwie rzeczy, których na wojnie nie znoszę. Jedno to «nerwy», drugie zaś — to wynikające zresztą z tych «nerwów» nieznośne dla ludzi i koni alarmy i trzymanie oddziałów w ciągłym naprężeniu pogotowia. Napatrzyłem się tego na wojnie tyle razy. Zawsze przekonywałem się, że dowódcy zamiast w niepewnych wypadkach wziąć na siebie i na swój sztab ciężar pogotowia, zwalają go po prostu na barki swych podwładnych najzupełniej bezcelowo. Nawet w poważnych istotnie chwilach walczyłem ze sobą długo, nim wydusiłem z siebie rozkaz o zwiększonej ostrożności i zarządzeniu alarmowego pogotowia.

Zirytowany więc, zwołałem oficerów na odprawę i poza zwykłymi rozkazami i oceną sytuacji zapowiedziałem, że obowiązkiem oficerów nie jest tylko umiejętnie i odważnie prowadzić swych podkomendnych podczas bitwy, lecz i dbać o to, by ich żołnierze byli możliwie silni fizycznie i wypoczęci przed bojem. Dlatego też zakazuję urządzać jakiegokolwiek pogotowia bez mego rozkazu. Zwróciwszy się zaś do obcych oficerów, dodałem:

— Na noc konie mają być rozsiodłane, ludzie, oprócz tych, co mają nocną służbę, powinni spać. Ja odpowiadam za bezpieczeństwo i całość oddziału i proszę panów być spokojnymi o to, że w razie istotnego niebezpieczeństwa będziecie na czas zaalarmowani i uprzedzeni.

Widziałem po ich minach, że byli trochę zdziwieni i zaniepokojeni, nie wypowiedzieli jednak ani słowa i, jak się dowiedziałem nazajutrz, zastosowali się bez szemrania do rozkazu.

Po tygodniu, gdyśmy już przebyli parę ryzykownych sytuacji, spotkała mnie przyjemna satysfakcja. Jeden z przydzielonych oficerów dziękował mi za admonicję, twierdząc, że po raz pierwszy nieledwie na wojnie on, jego ludzie i konie są wypoczęci należycie pomimo odbytej pracy.

— Nauczyłem się, — dodał — jak pańscy oficerowie, zrzucić buty na noc i nawet odważam się rozbierać się spokojnie do snu.



Inny oficer, przykomenderowany do mnie, jako oficer łącznikowy, bardzo miły i przyzwoity Węgier, dziękował mi w jeszcze zabawniejszy sposób.

— Od czasu, jak przy panu jestem, ani razu nie dosiadłem konia niepotrzebnie. Doprawdy, to bardzo jest przyjemne!

Nie chcę twierdzić, by i w kampanii limanowskiej nie zdarzały się przykre wypadki niekoleżeńskiego zachowania się wobec nas Austriaków. Owszem, lecz na ogół wytworzyły się przyjazne i poprawne z nimi stosunki, tak, że wydawały się one po tym, co się przeżyło w początkach wojny, po prostu rajem. Specjalnie przyzwoitymi byli Węgrzy, którym nigdy ani się śniło widzieć w naszej odrębności organizacyjnej i w innym, niż u nich, układzie wewnętrznych stosunków jakiego przestępstwa, godnego kary lub tematu dla szykan czy lekceważenia. Węgrzy byli dla mnie przyjemnymi kolegami i dlatego, że mogłem się z nimi porozumieć bardzo łatwo przy ich nadzwyczaj powolnej i wyraźnej wymowie, gdy mówili językiem niemieckim.

Warunki wojny na Podhalu okazały się i pod innym względem nadzwyczaj przyjemne. Mówię tu o stosunkach z ludnością. Nie było tu, jak w Królestwie, gwałtownego i najczęściej daremnego szukania oparcia i zrozumienia wśród ludności cywilnej. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko, czego dusza żołnierza, walczącego dla szczęścia ojczyzny, pragnie, było mu dane. Tu czułem się w ojczyźnie, czułem się potrzebnym dla niej, jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski, czy jego gaździna, mieszczanin, czy robotnik — wszyscy szukali po prostu okazji, aby w czemkolwiek dopomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas. Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano, musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W żadnej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo, że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Żywo pamiętam jeden wypadek w zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stałem kwaterą w chacie góralskiej, która, jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę — zamkniętą — czystą, drugą, codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta itp. pożyteczne, lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna, wysoka

o kształtnych rysach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była po prostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często, proponując to lub owo, potem przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziami, by zapytać raz jeszcze, czy nie trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drewna do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc nużyła mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność. Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu, gaździna płakała rzewnymi łzami, patrząc swymi melancholijnymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi:

— Biedne wy, wojoki polskie! Tego płaczę!

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdybym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej Podhalanki czuję szczerą wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie ojczyzny, które tam miałem.

Wspomnienia z tego okresu walk są i dlatego wreszcie dla mnie bardzo miłe, że prowadziliśmy tam wojnę bardzo oryginalną, bez całego przepychu techniki nowoczesnej. Tego nie było tam wcale! Nie mieliśmy ani taborów, ani telefonów i dla łączności posługiwaliśmy się według starej tradycji adiutantami i ordynansami. A gdy przypomnę sobie ówczesne okopy, śmiech mnie bierze. Nie mówię już o przeszkodach z drutu, których wcale nie było, ale same okopy — pożał się, Boże! Po prostu każdy żołnierz wykopywał sobie na przedzie jamkę, do której przynosił trochę słomy, i fortyfikacja była gotowa. Najkomiczniejszymi byli w takich okopach kawalerzyści austriaccy w swych czerwonych spodniach, osobliwie na tle śniegu, który w końcu listopada leżał najmniej co drugi dzień. Każdy, kto czytał lub słyszał o pustych i bezbarwnych polach bitew nowoczesnych, uznałby to za błagę, gdyby tych «wojoków» spostrzegł o dobrych parę kilometrów, jako czerwone plamy na białym śniegu, leżących po sznur w równej linii z równymi odstępami w swych płytkich jamkach z filozoficznym wyrazem twarzy i fajką w gębie.

Z jednej i z drugiej strony w tej górzystej okolicy występowała do boju kawaleria, dumnie jeszcze szukająca szarzy i mająca w pogardzie kopanie się, jak kret, w ziemi. Za to było dużo przestrzeni i ruchu. Nie zastygaliśmy na długo w jednym miejscu, codziennie była zmiana sytuacji, zmuszająca myśleć, odgadywać przeciwnika. Wojna była trochę nużąca wobec ciągłych marszów i wstrętnej jesienno-zimowej pogody,

która nam drogi zmieniała albo w błoto, albo pokrywała je twardą grudą czy śliską gołoledzią. Chłopcy byli tak poprzębiani, że gdym przejeżdżał koło kolumny, wyciągającej się do marszu, słyszałem nieustanny głuchy kaszel. Sam również wypoczynku miałem mało. Mimo to ta wojna w ruchu, z wielkimi przestrzeniami, w górach, z ciągłymi zagadkami i łami-główkami była przyjemną, bo dawała dużo swobody i samodzielności.

Choć warunki, w których walczyliśmy, były miłe, nie mogłem się pozbyć swych pesymistycznych myśli i dlatego ani przez chwilę w owe czasy nie zapomniałem o swym zasadniczym planie cofnięcia się przy dalszych niepowodzeniach do Nowego Targu. Tam byłem zdecydowany podnieść do wojny górali, prowadzić akcję zaczepno-odporną, a w ostateczności skończyć nasz los jakąś uwieczniającą strzelców hekatombą. Nie było dnia, w którymby par godzin nie przemyślał nad tym planem. Wypracowywałem w duchu szczegóły organizacji obrony i przebiegałem myślą drogi, które miałem dla swego odwrotu w stronę Nowego Targu. Tam też ściągałem zewsząd wszystkie moje organizacje tyłowe, rozsypane po różnych kątach od czasów kieleckich.

Tymczasem tańczyłem swego, jak nazywałem kontredansa, koło Limanowej. To zbliżaliśmy się do niej, to znowu odchodziliśmy. To byliśmy pewni, że właściwie przed nami są tylko nieliczne grupy kawalerii, to znowu drżeliśmy przed przemocą nieprzyjacielską. Nie mówię tu o sobie, gdyż mając zasadniczy swój plan już zdecydowany, niewiele robiłem sobie z tej przemocy; mówię tu o ogólnym nastroju, który przeważnie był bardzo nerwowy, z ciągłymi obawami o skrzydła i tyły. Wojska, będące przed nami, ciągle się zmieniały. Po dywizji Dragomirowa ukazały się dywizje kozackie i 10 dywizja kawalerii z dzikim i okrutnym gen. Kellerem na czele. I te formacje zresztą to ukazywały się w wielkiej liczbie, to znowu mieliśmy przed sobą tylko jakieś patrole, w które się wchodziło, jak w masło, bez przeszkód prawie. Ja ze swymi batalionami miałem jako bazę Jurków i drogę marszową, idącą doliną Chyżówek, ale doprawdy z pięć razy w tym czasie byłem u proboszcza w Słopnicy Królewskiej, po tamtej stronie przełęczy w Chyżówkach, w pobliżu Limanowej. Biedny proboszcz musiał, zdaje się, co parę dni zmieniać swych gości — to my, to Moskale.

Wreszcie przełamało się. Pewnej nocy, dowiedziawszy się, że Rosjan w Słopnicy mało, przeszedłem Chyżówki, wyrzuciłem trochę kozaków ze wsi i posłałem na tyły Tymbarku,

zajętego jeszcze przez Rosjan, jeden batalion z karabinami maszynowymi. I nazajutrz byliśmy już w Limanowej. Było to 4 grudnia.

Moskale widocznie cofali się ku Dunajcowi i Nowemu Sączowi. Na horyzoncie, na górach, ukazywały się patrole konne, które spieszenie wycofywały się, a gdzieś spoza Wysokiej od czasu do czasu grzmiał strzał armatni. Austriacy posuwali się ostrożnie za nieprzyjacielem. W Limanowej zatrzymałem się na chwilę, by się ostrzec. Dowiedziałem się, że Rosjanie jakoby mnóstwo zarekwirowanych i nagrabionych rzeczy zgromadzili w Nowym Sączu. Mówiono nawet, że jakoby zaczęto je stamtąd wywozić. Gdym w Kaninie, na szosie do Nowego Sącza, dogonił sztab 2 dywizji, dowiedziałem się, że na Wysokiej stoją Moskale, a bateria ich strzela z Trzetrzewiny. Przez lornetkę obejrzałem Wysoką i stwierdziłem, że obsada jest mała, więc łatwa do przepłoszenia. Komendant dywizji zaproponował mi, bym spędził Moskali, tym bardziej, że jego żołnierze zaczęli się trochę cofać. Rzuciłem jeden batalion i kawalerię na prawo od szosy. Kawaleria poszła naprzód i, zsiadłszy z koni, pieszo zaatakowała nieprzyjaciela od skrzydła. Moskale opuścili Wysoką, bateria z Trzetrzewiny zwiąła, wszystko cofało się na Nowy Sącz.

Gdym noc tę spędzał w zapadłej wioszczynie, w góralskiej chatce, byłem pod wrażeniem łatwości, z jaką Moskali zmusza się do cofania przed względnie małymi siłami. Czyżbym się mylił? Czyżby istotnie zwycięstwo uśmiechało się tej stronie, po której jestem? Cóż znaczy bowiem to nagłe i łatwe cofanie się? Co znaczą te gawędy w Limanowej o rozpoczęciu ewakuacji w Nowym Sączu? Rano patrole doniosły mi, że Trzetrzewina jest wolna. Moskali tam nie ma, a Trzetrzewina odległa jest od Nowego Sącza zaledwie o kilka kilometrów!

Tegoż dnia otrzymałem zaproszenie na naradę do sztabu dywizji. Byłem strasznie zmęczony i zaziębiony, przeprosiłem więc, że nie mogę być osobiście, i posłałem Szefa. Po paru godzinach Szef wrócił. W komendzie dywizji dziękowano mi za przepłoszenie Moskali z Wysokiej i zaproponowano plan działań następujący. Dywizja ma całkowicie nieosłoniętą lewą flankę i dlatego dalej po szosie ku Nowemu Sączowi posuwać się nie może. Gdybyśmy więc poszli na drogę Limanowa—Marcinkowice i zabezpieczyli lewe skrzydło, możeby można było razem podsunąć się ku Nowemu Sączowi, co wobec słabych, jak się zdaje, sił nieprzyjacielskich byłoby niezbyt ryzykownym. Niezbyt mi się ten plan podobał, bo w ten sposób na wypadek niepowodzeń odsuwałem się od wymarzonej mej

drogi do Nowego Targu. Wolałbym zostać na prawym skrzydle dywizji, ale z drugiej strony ta nadzwyczajna skłonność Rosjan do cofania się była pokusą nielada. Błyskała jakąś nadzieją zwycięstwa. Wreszcie zgodziłem się.

Miałem przy sobie wówczas tylko dwa słabe bataliony. Jeden (V) musiałem detaszować na północ. Poza tym niecałe dwa szwadrony kawalerii, oddział karabinów maszynowych i 4 górskie armaty. Na wzmocnienie oddziału mego na szczęście przyszła jeszcze moja własna artyleria — «werndle na kółkach»\*) — 8 armat starego typu o niedalekiej «portée» i strzelające, jak na śmiech w tej wojnie, dymnym prochem. Dąbkowski przyprowadził jeszcze małą kompanię saperów. Ta pomoc przyszła po zwolnieniu reszty mego oddziału z I korpusu, po bitwie pod Krzywopłotami. Dwa bataliony poszły stamtąd, zgodnie z moim rozkazem, do Nowego Targu, artyleria i saperzy przyszedli do mnie pod Limanowę.

Z tym słabym oddziałem ruszyłem żwawo na północ. Gdy doszedł potem do drogi Limanowa—Marcinkowice, skręciłem prosto na wschód ku Dunajcowi. Jak zawsze, gdy jestem w marszu ku nieprzyjacielowi, byłem w stanie trochę podnieconym, z przyjemnym uczuciem jakiegoś tryumfu, zmieszanego z oczekiwaniem nowych silnych wrażeń, nowych zagadnień. Kawaleria, rzucona naprzód, słała mi wciąż raporty o cofaniu się przed nią zewsząd słabych patroli nieprzyjacielskich. Nigdzie żadnego oporu, ani żadnych większych sił nie spotkano. Wszędzie ludność opowiadała, że Moskale byli tu przed godziną, przed pół godziną, i poszli do Nowego Sącza czy Dąbrowy za Dunajec. Nieprzyjaciel cofał się najwidoczniej, nie stawiając żadnego oporu. Moja radość, a zarazem śmiałość coraz bardziej się zwiększała.

Już na dłuższym postoju, gdzieś koło Pisarzowej, po otrzymaniu pierwszych meldunków od kawalerii, zaczęła mi się kręcić po głowie myśl dojścia do Nowego Sącza. Przewidywałem, że posuwanie się 2 dywizji będzie bardzo powolne. Czuć było to z ostrożnej atmosfery, panującej w sztabie dywizji. Tymczasem wydawało mi się rzeczą konieczną wykorzystania sytuacji, dodanie nieprzyjacielowi ognia w cofaniu się i utrudnienie mu tak zawsze trudnej operacji odwrotu. Bez względu nawet, jak na całym froncie sprawa stoi — myślałem sobie — nigdy taki nacisk nie zaszkodzi, zawsze pomoże.

\*) Werndlami nazywano karabiny systemu Werndla, jednostrzałową, nierepetierową broń o wielkim kalibrze, którą otrzymaliśmy w początku wojny.

Przed zapadnięciem wieczora doszedłem z piechotą i artylerią do Klęczan i tam otrzymałem od Beliny raport, datowany z Marcinkowic, więc z nad samego Dunajca. Raport przynosił dane, przekraczające moje najśmielsze nadzieje. Jeden patrol ułanów przeprowił się przez Dunajec koło Marcinkowic i wypatrzył słabe posterunki kozackie w okolicy Dąbrowy, inne patrole zajęły Rdziostów i górę Rdziostowską po tej stronie Dunajca, spędzając z niej również słabe patrole kozackie, które w pośpiechu cofnęły się brzegiem Dunajca ku Nowemu Sączowi. Z góry Rdziostowskiej, oddalonej o jakie 3—3½ km od Nowego Sącza, miasto widać nieledwie, jak na dłoni.

Pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem z tych danych, był taki, że Rosjanie mają bardzo małą siłę w Nowym Sączu. Trudno bowiem przypuszczać, aby większy oddział mógł tak blisko podpuszczać ku sobie nieprzyjaciela i pozwalał, by ten nieledwie zaglądał mu do garnka. Stąd niedalekim był mój wniosek drugi: przeszkodzić Moskalom, ile możności, w spokojnym posiadaniu tak ważnego punktu, jakim jest Nowy Sącz. Przypuszczałem, że muszą się czuć bezpiecznymi za poważną przeszkodą, jaką jest Dunajec, wiedząc, że i nasza strona ma bardzo słabe siły po tej stronie rzeki. Trzeba więc właśnie wykorzystać to ich poczucie bezpieczeństwa za osłoną Dunajca i spróbować zaatakować nieprzyjaciela po tamtej stronie rzeki. Ważną rolę do tego w mych rozważaniach odgrywała myśl, że przeszkodzę Rosjanom w ewakuacji miasta ze składów, o których okoliczna ludność ciągle mi mówiła.

Po późnym obiedzie, rozważywszy raz jeszcze położenie, byłem prawie zdecydowany co do planu. Kawaleria idzie od razu na wypatrzone posterunki koło Dąbrowy, żeby je zagarnąć. Saperzy budują kładki przez Dunajec koło Marcinkowic. Na górę Rdziostowską pod osłoną jednej lub dwóch kompanij piechoty idzie artyleria, by poprzeć atak piechoty na Nowy Sącz, albo też przykryć jej odwrót w razie niepowodzenia. Ja z piechotą przeprowiam się pod Marcinkowicami na wschodni brzeg Dunajca i próbuję nad ranem ataku na Moskali i w Nowym Sączu.

Miałem stanowczo za mało sił na takie przedsięwzięcie. Niepokoiło mnie to. Nowy Sącz — względnie duże miasto, niewiadomo, jak obsadzone przez Rosjan: w mieście nieznanym tak łatwo błędzić i tak trudno małymi siłami je obsadzić rozumnie. Liczyłem na to, że po drodze od tak przyjaźnie dla nas usposobionych chłopów zdobędę ściślejsze wiadomości i dobrych przewodników, znających miasto. Zresztą u siebie w ba-

talionach miałem chłopców, którzy je znali. Kazałem się o nich dowiedzieć. Okazało się, że nie zabraknie mi ich w batalionach. Wyzaczyłem wobec tego osłonę do artylerii na nasz brzeg z III batalionu i kazałem chłopców, znających Nowy Sącz, podzielić tak, aby każda kompania miała jednego takiego przewodnika.

Szef — to sumienie moich szaleństw — kiwał na ten plan głową. Przedstawiał mi tyle słusznych zresztą argumentów przeciwko memu planowi, że zawahałem się trochę i zdecydowałem się ostateczną decyzję odłożyć do chwili, gdy most będzie zbudowany i otrzymam dodatkowe dane od kawalerii. Swoją jednak drogą kazałem artylerii i jednej kompanii z III batalionu po kolacji maszerować do Marcinkowic, oficerom zaś artylerii zrekonoskować wzgórze Rdziostowskie, tak, aby na zajęcie pozycji poszło możliwie mało czasu. Sam z szefem i paru oficerami ruszyłem do Beliny, do Marcinkowic, na kolację i dla powzięcia ostatecznej decyzji.

Gdym tej grudniowej nocy na kasztance jechał do Marcinkowic, przekładałem sobie jeszcze raz argumenty, przemawiające za wyprawą za Dunajec i przeciw niej. Położenie mego oddziału i tak było ogromnie eksponowane. Byłem zupełnie sam, najbliższe wojsko austriackie stało w Kaninie, o 12 kilometrów w tyle poza mną. Wszystkie działania Moskali wskazywały, że nieprzyjaciel nie rozporządza większą siłą. Chodziło jednak o to, jak dalece jest słabym. Nie ulegało wątpliwości, że jest silniejszy ode mnie, trudno bowiem było przypuszczać, aby na tym froncie miał wszystkiego niespełna 2 tysiące ludzi, których ja miałem wtedy w swoim oddziale. Oprócz tego nie mogę prawie na pewno spodziewać się znikąd pomocy, gdy nieprzyjaciel będzie mógł łatwo ściągnąć niewielką pomoc dla obrony i przejść potem do ataku. Jedyłą szansą mego planu jest jego niezwykła śmiałość i liczenie na efekt niespodzianki. Jeśli ona się uda, to wszystko będzie dobrze. Przypominałem sobie Ulinę i moje ówczesne doświadczenia o źle zorganizowanej służbie ochronnej u Rosjan. Wreszcie myślałem sobie — przecie nie ma dwóch zdań, że Moskale znajdują się w odwrocie, a cofającemu się niewiele trzeba, aby go zmusić do opuszczenia tego czy innego punktu. Nie miałem jeszcze ostatecznej decyzji, gdym dojechał do dworku w Marcinkowicach i wpadł w objęcia zawsze gościnnej, zawsze serdecznej i zawsze bardzo gwarnej braci ułańskiej.

Opowiadano tu sobie przejścia dzisiejsze, żartowano z pospiesznego odwrotu patroli rosyjskich, które prawie bez strzału uciekały przy zbliżeniu się do nich, pito zdrowia wszystkich

po kolei uczestników kolacji i rozwodzano się «per longum et latum» nad cnotami każdego z rumaków, nie omieszkując skrytykować wszystkie inne konie, oprócz swego. Jednym słowem, było bardzo huczno i bardzo wesoło. Wkrótce wrócił spod Dąbrowy Grzmot-Skotnicki. Całą placówkę kozacką rozpedzono, wzięto 13 koni i kilku kozaków. Naturalnie, jak zwykle, Moskałe bardzo źle się ochraniali.

Przystąpiłem do badania jeńców. Twierdzili oni, że placówka ich czekała na złuzowanie przez piechotę z Nowego Sącza i mieli odejść tegoż jeszcze wieczora na północ do swego pułku. Dalej, że do Nowego Sącza przyszedł cały VIII korpus z Karpat i że jego dowódca na pewno już jest w mieście. Pomimo, że zwykle wydawały mi się zeznania jeńców rosyjskich wiarygodnymi, tym razem odrzuciłem je. Jak to? Korpus ma być w Nowym Sączu, a ja stoję ze swymi patrolami na górze Rdziostowskiej i ten korpus nie przeszkadza mi wcale oglądać siebie. Niemożliwe! Przecież nawet te patrole, które zmykały przed moimi ułanami, byłyby śmielsze, czując za sobą oparcie tak poważne, jak korpus wojska. A to umykanie i skwapliwe cofanie się trwa już drugi dzień. Najbardziej dziwnym jest jednak posiadanie przez mnie Rdziostowa. Jakiż, u licha, korpus nie osłoni swego noclegu i pola swego jutrzejszego marszu na odległość paru kilometrów? Niewiarygodne! Pozostaje jednak fakt, że placówka miała być złuzowana przez piechotę. Nie ma wątpliwości, że rozproszona placówka już narobiła alarmu i wobec tego z głównej szansy mego planu — z niespodzianki nic nie będzie. Chybaby maszerować zaraz tu w ślad za alarmującymi. Ale do tego nie jestem gotów, piechota moja jeszcze o kilka kilometrów od Dunajca je kolacje. Szef przystępuje i jeszcze raz wysuwa argumenty, przemawiające za odwołaniem planu ataku na Nowy Sącz.

Zgoda! — zdecydowałem — trzeba się poddać racjom i być rozsądnym. Nie wyrzeknę się jednak części przynajmniej swego pierwotnego planu. Artyleria już przemaszerowała, więc trzeba ją wykorzystać. Pójdę z nią na Rdziostów i ostrzelam wszystkie wyjścia z Nowego Sącza. Jeśli nieprzyjaciel się cofa, to doda mu to ochoty do szybkiego, a może bezładnego wymarszu. Jeśli zaś istotnie, jak mówią kozacy, przygotowuje się on do ataku na nas, to moja akcja powstrzyma na czas pewien ten napad i popsuje jego porządek. Na wszelki wypadek most przez Dunajec budować dalej i saperzy, którzy wszystko jedno jutro będą odpoczywać, mają go osłonić i zabezpieczyć. Piechota, oprócz kompanii, osłaniającej artylerię, i jazda — spać i odpocząć. Ja idę z artylerią do Rdziostowa.



Rozkazy wydane, wiadomość do Kaniny, do sztabu dywizji, o jeńcach i ich zeznaniach przesłana, jeszcze szklanka herbaty na rozgrzewkę i na kasztakę! Noc jest dosyć jasna, trochę mrozi, szosa dudni pod podkowami koni. Artyleria i jej osłona już pomaszerowała, więc trochę mi spieszo, gdyż kazałem czekać z rozpoczęciem ognia na moje przybycie. Ciekaw jestem ogromnie tego widoku z Rdziostowa, a jeszcze bardziej tego, co się dzieje tam za Dunajcem, u nieprzyjaciela. Szosa idzie pod górą prawie nad samym Dunajcem. W dzień byłaby to bardzo ryzykowna wyprawa iść tu z artylerią, nie mając w rękę tamtego brzegu; kilkudziesięciu ludzi by wystarczyło, by mi wystrzelać wszystkie konie i obsługę armat. Postanawiam w myśli względnie wcześniej przerwać ostrzeliwanie Nowego Sącza, aby zdążyć jeszcze nocą wycofać artylerię.

Kasztanka wesoło prycha i mnie też bardzo jest wesoło. Wygląda to wszystko na nadzwyczajną awanturę. Nie jest ona tak wspaniałą, jak mój poprzedni plan napadu na Nowy Sącz, ale i tak jest ładnie, gdy pomyślę, że jestem o 12 kilometrów oddalony od najbliższego oddziału swego i że z tak śmiesznie małą siłą idę ogniem w paszczę tego, któremu wystarczyłoby tylko ją zamknąć, by mnie razem z moimi armatkami połknąć. No, i nasze «werndle na kółkach» użyją; w nocy, gdy się nie widzi ich śmiesznych skoków przy każdym strzale i dymu, mogą ujść za przyzwoite nowoczesne armaty.

Ale co to? Im bardziej wjeżdżam na górę, tym wyraźniej słyszę dudnienie wozów po tamtym brzegu Dunajca. Dudnienie jest bardzo silne, jakby ciężkich wozów, jest ono zupełnie nieprzerwane, jakby jechał długi szereg wehikułów. Mimo pilnego wsluchiwania się trudno doprawdy było odróżnić, w którym kierunku wozy się poruszają, na północ czy na południe, bo że ruch szedł równoległe do Dunajca, to było wyraźne. Lecz turkot ciężkich kół był tak równomierny i tak, że się tak wyrażę, długi, że złapać kierunek ruchu było rzeczą bardzo trudną. Po dłuższym wsluchiowaniu się wydawało mi się, że turkot posuwa się na północ.

Jakie to dziwne wrażenie — takie fizyczne wyczuwanie nieprzyjaciela. Jakże szczęśliwi byli nasi przodkowie na wojnie, gdy nie mieli tylu męczących zagadek do rozwiązywania, gdy mogli wobec niewielkiej dalekonośności broni tak często już nie wyczuć, lecz po prostu policzyć nieprzyjaciela. Dziś stało się to fizyczne zbliżenie do przeciwnika względnie rzadkim, najczęściej jest ono końcowym ustępem dłuższego epizodu. To też chwil takich, jakie miałem na górze Rdziostowskiej, gdy m się po prostu ocierał o nieprzyjaciela, nie zapo-

mina się nigdy. Co to być może? Umysł pracował szalenie, by tę zagadkę rozwiązać. Pytam Szefa o jego wrażenie. Nie umie sobie tego zjawiska wytłumaczyć. Gdy stawiam hipotezę, że to jest ewakuacja Nowego Sącza, odpowiada mi, że niezrozumiałym jest, dlaczego idzie ona na północ, nie na wschód, co byłoby logiczniej.

Wreszcie jesteśmy na górze. Dwie chaty z dużą stodołą przy drodze — to początki Rdziostowa. Tutaj oczekują mnie artylerzyści, Brzoza i por. Meisner. Obaj raportują, że armaty stoją na pozycjach gotowe do strzału. Pytam ich od razu, czy dawno słyszą ten ruch kołowy po tamtej stronie Dunajca. Odpowiadają, że od czasu, jak tu są, tzn. od pół godziny. Jeden z nich dodaje, że to dudnienie przypomina mu marsz wielkiej kolumny z armatami i jaszczkami. Wzruszam ramionami. Jakże to? Puścić nas na górę Rdziostowską, by potem paradować przed nią w odległości kilometra, a więc pod strzałami karabinowymi. Ależ to nonsens!

Tym czasem należy nie tracić czasu, gdyż w każdym razie nie chcę za dnia odbywać powrotnej drogi do Marcinkowic. Więc jeszcze raz przypominam cele ostrzeliwania. Miasta samego nie ruszać! Teraz, gdy nic w nim oprócz świateł i światełek nie widać, przyczynilibyśmy więcej szkody mieszkańcom, niż nieprzyjacielowi. Ogień skierować na wyjścia z miasta — na zachód, zatem na mosty na Dunajcu, i na północ, ażeby przeszkodzić posuwaniu się tej tam kolumny wozowej, maszerującej po tamtej stronie rzeki. Rozpocząć ogień zaraz.

Meisner ma swoje armaty na lewo od drogi, bliżej Dunajca. Brzoza swe osiem niebożątek ustawił na prawo, na górze. Naturalnie, strzelać będą według mapy, więc niedokładnie, bez żadnej możliwości korektury. Idzie przecież przede wszystkim o moralny efekt i o wzniecenie nieporządku u nieprzyjaciela. Patrząc przed siebie na liczne drobne światełka Nowego Sącza, błyszczące tam w dole. Prócz nich widać jeszcze tylko kilka większych lamp i parę ognisk, rozpalonych gdzieś koło Dunajca. Wszystko to tam takie spokojne, nikomu tam ani się nie śni, co za chwilę się stanie. Wreszcie — bb...um! — pada strzał od Meisnera i... zaczyna się muzyka! Górskie armaty Meisnera mają błysk mniejszy i mają głos głębszy, nasze huczą, jakby pęknąć miały, i dają błysk tak duży, jakby nie były małymi pieskami, a olbrzymimi potworami. Słyszę na prawo i na lewo spokojne komendy. Strzelamy przeważnie granatami, od czasu do czasu szrapnelami. Widok na miasto jest cudowny z błyskawicami pękających szrapneli i ognistymi wybuchami granatów. Światełka w mieście nagle przestały migotać, ognie

na brzegu Dunajca widocznie pospiesznie gaszono, gdyż wkrótce z wesołego widoku miasta z wiankiem ogników nic nie zostało — gdzieniegdzie tylko smutno i melancholijnie błyska jakieś światełko, tak, jakby to nie Nowy Sącz był przede mną, a jakaś zapadła wioszczyzna. — To musiał być tam rejwach! — myślę sobie z zadowoleniem.

Ten wieczny jednak loskot tam na szosie za Dunajcem zaczyna mnie po prostu irytować. Nasza strzelanina nie robi nań żadnego wrażenia; głucho i ponuro dudnią dalej nieprzerwanym ciągiem jakieś głupie ciężkie woziska. Patrząc się w tym kierunku i wsłuchując się w ten monotony grzechot kół. Spostrzegam od czasu do czasu ruszające się światła — widocznie latarnie. Gdyby to nie były tabory — myślę — to przecie wzięłaby ich też ochota posłać nam parę kul, jako odpowiedź śmiałkom. Przecie widzą, że są tu armaty, więc muszą rozumieć, że jest i jakaś osłona z żywych ludzi, od których przecie trzeba zabezpieczyć tę głupią defiladę. Chyba zmykają i nie chcą zatrzymać się ani chwili. Bierze mię ochota sprowokować tych nieznośnych dudniarzy zza Dunajca. Chcę przez chwilę skierować tam ogień jednej z baterij, ale przychodzi mi na myśl, że mam przecie piechotę — jeden pluton stoi prawie tuż przy mnie, jako rezerwa osłony, wysłanej naprzód i na boki. Wołam do siebie dowódcę kompanii, Wieczorkiewicza, i każę mu dać parę salw w kierunku szosy na tamtym brzegu Dunajca.

Wieczorkiewicz idzie naprzód, by zbadać trochę sytuację, potem pluton staje i wkrótce bas armat jest przerwany raptownym suchym trzaskiem salwy karabinowej. Aha! poskutkowało! Turkot się zatrzymał. Widać żywo poruszające się światełka tam przy wozach. Czekam z naprężeniem, czy nie zagrzmie też jaka salwa w odpowiedzi. Nie! Przechodzi jakaś jedna czy druga minuta i znowu ten sam ponury turkot porusza się dalej.

— Strzelać dalej! — wołam do Wieczorkiewicza. Grzmi znowu salwa — turkot zamiera na chwilę, potem jakby nieśmiało zaczyna się ruszać, by wpaść dalej w swój monotony miarowy odgłos poruszającego się kolosa na kołach. Byłem i rozśmieszony, i wściekły. Szła więc salwa jedna za drugą zawsze z tym samym skutkiem, zawsze bez żadnej odpowiedzi z tamtej strony, która jakby się uparła milczkiem defilować w nocy przed nami.

Stawiałem sobie dla wyjaśnienia sprawy różne hipotezy i zawsze odrzucałem wszystkie, związane z przypuszczeniem, że mam przed sobą maszerujący oddział wojska. Przemawiało bardzo silnie przeciw takiej hipotezie po pierwsze zajęcie przeze

mnie bez przeszkód Rdziostowa z widokiem na Nowy Sącz i na wszystkie drogi, żeń wychodzące, po drugie to milczenie absolutne z tamtej strony Dunajca pomimo mojej strzelaniny z armat i karabinów. Żadnego strzału, żadnej próby przeszkodzenia mi w czemkolwiek. Po odrzuceniu zaś hipotez o marszu wojska ku mnie pozostawało jedno przypuszczenie, które wypowiadałem poprzednio, że jest to ewakuacja przeladowanego Nowego Sącza, marsz licznych ciężkich taborów po tamtej stronie Dunajca. Na zarzut Szefa, że logiczniejszym byłoby dla Rosjan wycofanie wszystkiego na wschód, nie na północ, odpowiadałem w myśli, że przy nagłej masowej ewakuacji stało się koniecznością wykorzystanie wszystkich dróg, jakie były w rozporządzeniu. A zresztą — dodawałem — czyż dotychczas w ciągu wszystkich tańców koło Limanowej nie było zawsze to samo — przesuwanie się nieprzyjaciela, któregośmy mieli przed sobą, właśnie na północ. Może kolej, którą Moskale mają za sobą w kierunku Grybowa i Jasła, nie jest jeszcze zdolna do użytku, gdy odwrotnie północne koleje od Tarnowa na wschód są pущzone w ruch, i dlatego ewakuacja idzie w kierunku północnym do tych właśnie kolei. W każdym razie wydawało mi się wówczas — trochę pijanemu tryumfem swej własnej śmiałości — że jedynym racjonalnym wytłumaczeniem ogromnego ruchu po tamtej stronie Dunajca jest hipoteza o ewakuacji składów nowo-sądeckich. Ona jedynie tłumaczyła to nagłe cofanie się bez walki wszystkich patroli i oddziałów rosyjskich przed naszymi słabymi siłami, ona jedynie wyjaśniała, dlaczego Moskale puścili mnie bez oporu do Rdziostowa, ona wreszcie pozwalała zrozumieć tajemnicze milczenie tak bliskiego nieprzyjaciela. Nawet Szef, który w ogóle w stosunku do całej operacji był pesymistą, wzruszał ramionami, co prawda, gdym mu moje rozumowanie wykladał, lecz nie mógł znaleźć argumentów «contra» dostatecznie silnych.

Upewniwszy się w swej hipotezie, zdecydowałem od razu, że jak tylko szary świt wstanie na niebie, ruszy Belina za Dunajec po łatwą zdobycz, tabory. Wzniesi popłoch i zamieszanie — to przecie idealne dla jazdy. Jako pomoc dam mu na razie jeden batalion, który zarazem przykryje Rdziostów od jakichś drobnych patroli, mogących się ukazać z południa. Z III batalionem i artylerią — która musi wypocząć po nocnej pracy — zostaną w rezerwie aż do lepszego wyjaśnienia sprawy. A nuż będę mógł odbyć jeszcze tego dnia tryumfalne wejście do Nowego Sącza i być z polskim żołnierzem pierwszym w murach oswobodzonego od najazdu miasta. Dumne marzenia!

Tym czasem strzelanina trwała dalej. Ten sam duet moich

armat i salw karabinowych z tym samym brakiem jakiegokolwiek dopełnienia muzyką z naprzeciwnika. Żadnego strzału, żadnego odgłosu, oprócz monotonnego dudnienia wozów na tamtym brzegu Dunajca. Wreszcie Meisner złożył raport, że wystrzelał wszystkie naboje, wzięte ze sobą na jukach, i jeżeli nie ma dla niego innych rozkazów, będzie się gotował do wymarszu. Brzoza nie chciał zaprzestać strzelania, ponosił go zapal artylerzysty. Ze zwykłym sobie optymizmem twierdził, że parę granatów musiało trafić w mosty na Dunajcu. Świt się zbliżał, podpędzałem go więc, by zakończył swe fajerwerki, on zaś wciąż prosił, aby mógł jeszcze parę razy wystrzelić. Nareszcie skończone! Artyleria wyciąga swą kolumnę na drodze, kompania Wieczorkiewiczza ściąga powoli swe posterunki. Siadam na kasztankę i daję rozkaz artylerii cofnąć się do III batalionu i pod jego osłoną odpocząć i nakarmić konie. Wyprzedzam kolumnę i wraz z szarżującym świtem jestem z powrotem w Marcinkowicach.

Cała kawaleria jest już na nogach, konie posiadlane, ułani przy koniach pospiesznie kończą przygotowania do wymarszu. Nie schodząc z konia, wołam do Beliny:

— Belina! Przyszedeł wasz wielki dzień! Na koń i jazda za Dunajec! Tam, drogą od Sącza na północ, ciągną jakieś wielkie i długie tabory. Użyć możecie, ile dusza zapagnie! Wymarsz natychmiast. Jeden pluton dla bezpieczeństwa na Rdziostów. Zluzuję go piechotą, gdy nadejdzie. Za wami pójdzie I batalion. Meldunki jak najszybciej do mnie, tutaj do Marcinkowic!

— Tabory, Komendancie! — jęknął prawie Belina, siadając na konia.

Za chwilę sto kilkudziesiąt jeźdźców tęgim klusem ruszyło ku Dunajcowi na mostek, rzucony przez saperów. Artyleria już szła mimo Marcinkowic, widziałem, że z góry Rdziostowskiej spuszcza się ku mnie piechota, a na jej spotkanie posuwa się ku górze garstka ułanów, odkomenderowana na Rdziostów. Posłałem po I batalion, a sam ze sztabem udałem się na posiłek, na który gościnni gospodarze zapraszali. Poprosiłem o szklanke mleka i kawałek chleba jeszcze przed śniadaniem, byłem bowiem bardzo głodny.

Pamiętam tę rozkoszną chwilę, gdy zmęczony i niewyspany wyciągnąłem na całą długość znużone nogi i z rozczeniem głodnego oglądałem szklanke zimnego mleka z cudownym, smacznym chlebem, myśląc na pół o gorącym śniadaniu, które zaraz podadzą, na pół o tym, co też zawierają te wozy, które za chwilę może, wraz ze śniadaniem, będą oglądać. Wy-

piłem już pół szklanki mleka i sięgnąłem po papierosa. Ba! Nie sądzono mi już było ani zjeść śniadania, ani nawet skończyć tej szklanki mleka, która stała przede mną. Rozpoczęła się tragedia marcinkowicka!

Do pokoju wpadł, jak bomba, Brzoza.

— Komendancie! — wołał — Moskale okopują się tam na górze za Dunajcem!

— Co za głupstwo! — odpowiadam — to być nie może!

— A jednak tak jest! Ze strychu doskonale widać!

Zrywam się, chwytam za czapkę i futerko. Biegniemy po jakichś stromych schodach i przez okienko na strychu oglądamy ową górę, która wznosiła się tuż nad zbudowanym przez saperów mostem. Szare ołowiane niebo nie pozwala dokładnie przekonać się nawet przez silną lornetkę, kto właściwie tam na górze stoi. Widać jednak wyraźnie, że ludzie w liczbie może trzydziestu kopią tam, a jeden z nich stoi i przez lornetkę bada okolicę.

— Dlaczego sądzicie, że to Moskale? — pytam Brzozę — to muszą być nasi saperzy. Mają rozkaz zabezpieczyć most i przecież nie uczynili tego, jak policjanci, stojąc przy moście, ale postawili, bo postawić musieli, posterunek na górze. Tylko przecież w ten sposób mogli most zabezpieczyć. A teraz na rozgrzewkę i dla wprawy saperskiej kopią okop.

— Może być — odpowiada Brzoza, trochę przekonany, — tylko mnie się wydaje, że oni wysypują ziemię w naszym kierunku, saperzy zaś wyrzucaliby ziemię z rowu w tamtą stronę.

Przypatrywałem się długo i nie mogłem dojrzeć, czy istotnie tak jest, jak Brzoza mówi. — Et! — pomyślałem — dla uspokojenia posłę kogokolwiek do saperów. Nie może przecież być, by byli oni tak nierozsądni i nie obsadzili choć posterunkiem obserwacyjnym tej góry nad swoim mostem. A zresztą, gdyby to byli Moskale, musieliby już dostrzec jazdę Beliny i teraz jużbym słyszał strzały.

Uspokojony schodzę, by wrócić do swej szklanki mleka \*). Gdy jestem na podwórzu, słyszę zbliżający się silny tętent koni w galopie. Na podwórze wpadają ułani, a oficer, spostrzegłszy mnie z daleka, woła:

— Komendancie! Moskale są w Rdziostowie. Piechota, silny oddział, rozwiniętą tyralierą idzie ku nam. W tyralierze najmniej dwie kompanie.

\*) Już jako Naczelnik Państwa pojechałem rozmyślnie do Rdziostowa i Marcinkowic. W Marcinkowicach kazałem przygotować sobie na spotkanie szklankę mleka. Nie mogłem znieść na sobie tego, żem taki głodny, jak wtedy byłem, nie dopił mleka.

I w tej chwili przez podwórze zaczynają bzykać pierwsze kule. Idą istotnie od strony Rdziostowa. Stoję chwilę zupełnie bezradny — całe dotychczasowe moje pojęcie o sytuacji runęło w jednej chwili. Teraz zaczyna grać za Dunajcem muzyka. Naprzód bezładne strzały karabinowe, parę salw — i w ten grzechot karabinowy wpada suchy, bezmyślny, równomierny trzask karabinów maszynowych. Włosy mi stają na głowie! Coś chwyciło mnie za serce.

Zgubiłem swoją kawalerię!

Na podwórze wypadli oficerowie i ordynansi. Szef schwylił mnie pod rękę i gwałtem wyciągnął za stodołę z podwórza, przez które gesto już szły kule. Ordynansi spieszenie siodłali konie, wyprowadzając je potem za stodołę. Wkrótce zaczęły grzmieć nasze karabiny. Wieczorkiewicz rozwinął swoją kompanię przeciw Rdziostowowi. Od mostu, również ku Marcikowicom, grupkami ścigali się saperzy, a za Dunajcem coraz silniej trąkotały karabiny maszynowe. Każdy strzał odbijał mi się na sercu. W głowie była tylko jedna myśl: «Jezus, Maria, zgubiłem Beliniaków!» Raz po raz wysuwałem się z poza stodoły, patrząc, jak na górze Rdziostowskiej rozwija się nieprzyjaciel. Szukałem po prostu, by jakakolwiek kula mnie zaczęła. Byle nie mieć tej ciężkiej myśli w głowie, byle nie czuć tego ołowianego ciężaru w sercu!

— Na łatwe zwycięstwo nad taborami — myślałem — posłałeś ich! Na śmierć ich posłałeś, ot co jest, i to na śmierć bez potrzeby i pożytku, dlatego jedynie, żeś się omylił w ocenie sytuacji!

Lecz i kula mnie nie trafiała, i Szef za każdym razem wciągał mnie z powrotem za stodołę. Wreszcie ujął mnie silnie pod ramię i stanowczym głosem powiedział:

— Komendancie! Nic tu nie wystoimy, musimy odchodzić do piechoty!

Na razie z wściekłością ruszyłem ramionami. Przyszło mi na myśl, by odesłać cały sztab, a zostać samemu. Była to jakby potrzeba serca. Może jakaś resztką tej jazdy wróci. Potem znowu przyszła myśl o ratunku: mam przecie jeszcze piechotę; pójść z nią na pomoc? Ale nie! Ta wąziutka dolina, w której staliśmy, była pod strzałami i z prawa, i z frontu. Gdzież tu rozwinąć się i jak w dodatku forsować pod takim ogniem Dunajec i drapać się tam na górę, gdy z prawa w każdej chwili możemy być odcięci od drogi odwrotowej.

A Szef, jakby odgadując moją mękę, dodał:

— Komendancie! Nic tu nie zrobimy. Pomagając kawalerii, zgubimy i piechotę. Trzeba się cofać!

Istotnie nie było innej rady. Machnąłem ręką, by prowadzono naprzód konie i odjeżdżali konni. Sam z Szefem szedłem pieszo. Na razie posunęliśmy się drogą wgłębianą, potem drzewa osłaniały nas od Rdziostowa. Byliśmy jednak zupełnie odkryci dla nieprzyjaciela zza Dunajca. Jakoż, gdyśmy uszli paręset kroków, gwizdnęły za nami stamtąd dalekie kule, a po chwili rozległ się nad głowami suchy trzask, w koło na drzewa i na szosę posypały się liczne kule, a po szosie tuż koło naszych nóg, brzęcząc, podskakiwała szklanka szrapnelowa. Jest i artyleria! Więc to dudnienie na szosie, to nie były tabory, lecz armaty i jaszczyki! Po chwili znowu posłano ku nam parę szrapneli. Wzięli naszą grupę na oko! Konni i ordynansi z wystraszonymi luzakami ruszyli pędem ku najbliższemu zagłębieniu. Ja z szefem stanęliśmy na chwilę za drzewami. Artyleria przeniosła ogień w inną stronę, ku kompanii Wieczorkiewicza. Ruszyliśmy z Szefem dalej i wkrótce w osłoniętej kotlinie spotkaliśmy batalion Bojarskiego. Kazałem mu rozwinąć jedną kompanię — gdyż dla większego oddziału w tej dolinie, po której szła droga, nie było miejsca — tak, by mógł zapewnić odwrót Wieczorkiewicza. Na prawo i lewo ma wysłać na pagórki silne patrole i czekać rozkazu o prawdopodobnym odwrócie.

Nad nami od czasu do czasu pękały szrapnele, nie czyniąc zresztą szkody nikomu wobec doskonałego ukrycia, jakie ta kotlinka z dosyć stromymi brzegami dawała od ognia połowych armat.

Wreszcie doszedłem do tego miejsca, skąd poprzedniego dnia wieczorem wyruszyłem do Marcinkowic i na Rdziostów. Sztab był już zupełnie spakowany i cofnął się dalej wobec tego, że i tu już zawitały szrapnele rosyjskie. Niedaleko w ukryciu stał III batalion, artyleria i karabiny maszynowe. Przyszedłem tam rozbity na ciele i duszy. Duszę rozdzierał ból z powodu ułanów, ciało było strasznie zmęczone. I nagle błysk nadziei! Od dywizji, która została w tyle w Kaninie, przyszło krótkie zawiadomienie, że «alles soll vorgehen»<sup>1)</sup>.

— Może otrzymali — pomyślałem sobie — posiłki, że są tak odważni! Ja mam tu przed sobą znaczną przewagę nieprzyjacielską, ale jeśli już w s z y s t k o ma iść naprzód, trzeba zrobić też wszystko, aby dopomóc do zwycięstwa, chociażby to nas miało dużo kosztować. A może tu dopomożemy trochę kawalerii. Więc naprzód!

Szef wyrażał swe wątpliwości i twierdził, że będziemy postawieni w sztychu. Nie chciałem słuchać tych zgryźliwych

<sup>1)</sup> Wszystko ma iść naprzód.



uwag. Zatrzymamy na sobie tę przemoc nieprzyjacielską i ułatwimy w ten sposób rozwijanie się i postęp tych, co tam szosą Limanowa—Nowy Sącz będą parli naprzód.

Więc tak! Front mamy wiązutki i dla osłony drogi samej wystarczy kompania. Reszta I batalionu i Wieczorkiewicz rozwiną się ku Rdziostowowi. Artyleria Meisnera, karabiny maszynowe i dwie kompanie pójdą na lewe skrzydło. Muszą się wdrapać na górę, przejdą lasem prawie niepostrzeżenie i staną do boju tak, by zatrzymać przeprawę Rosjan przez Dunajec. Jedna kompania w rezerwie przy mnie. Nasza artyleria jest na razie zupełnie nieużyteczna. Wobec niewielkiej «portée» musiałaby stanąć bardzo blisko za swoją piechotą, by przy strzelaniu nie razić swoich zamiast nieprzyjaciela. Tutaj, nimby wyjechała na pozycję, jużby była w ogniu karabinowym Rosjan. Trzeba tę zabawę z «werndlami na kółkach» odłożyć. Rozkazy poszły, wszystko ruszyło na wskazane miejsca i wkrótce już słychać było wzmożony ogień naszych karabinów na naszym prawym skrzydle. Widzę, jak nad naszą piechotą, gdy się rozwijała, nisko pękają szrapnele. Zaczynają napływać ranni, — jest ich na razie niewielu. Artyleria i karabiny maszynowe kazały na siebie czekać dłużej — miały dłuższą i przykrą drogę raczej po zboczach góry. Przyszły jednak jeszcze na czas, by rozpocząć ogień akurat na przeprawiających się przez Dunajec Rosjan. Bój rozpoczął się na całej linii. Moskale wobec wzmożonego ognia nawet nie próbowali zająć opuszczonych przez nas Marcinkowic. Posłałem natychmiast do dywizji zawiadomienie, że mam przed sobą nieprzyjaciela w znacznej przewadze: wróg pokazał co najmniej dwie baterie, a piechotę można obliczać na 3—4 bataliony z względnie wielką ilością karabinów maszynowych, które trajkotały, jak wściekłe, w różnych stronach. Prosiłem o możliwie szybkie posunięcie się naprzód oddziałów austriackich, gdyż długo tego boju nie będę mógł wytrzymać.

Nierówny bój ogniowy trwał, z widoczną jednak przewagą ognia nieprzyjacielskiego. Artyleria rosyjska, która ostrzeliwała wzdłuż całe moje prawe skrzydło, sypała szrapnelami, jak z rękawa. Chłopcy moi jednak trwali i odparli parę prób rosyjskich zbliżenia się do nich od Rdziostowa. O próbach tych mówiły mi fale nagle wzmagającego się ognia naszych karabinów. Każda taka krótsza nawałnica ogniowa napinała mi nerwy w trwożnym oczekiwaniu. Nie miałem przecie nic już prawie w ręku, aby na dłużej zatrzymać nieprzyjaciela, a przy przełamaniu mego prawego skrzydła Rosjanie od razu odcinali drogę odwrotu dla artylerii na lewym skrzydle.

Ale nic! Po kilku chwilach słyhać było znowu wolny ogień naszych chłopców, jakby mszczący się za niepowodzenie swoich, i ogień armatni zza Dunajca. Armaty musiały stać gdzieś bardzo blisko, gdyż huk strzału i wybuch pocisku słyhać było prawie jednocześnie.

Lewe skrzydło też pracowało — kilka prób rosyjskich przeprawy przez Dunajec utknęło pod silnym ogniem Meisnera, Besermeny'ego i mojej piechoty. Trzymaliśmy się, pomimo, iż oba skrzydła właściwie wisiały w powietrzu i że mieliśmy przed sobą widoczną przewagę nieprzyjaciela. Lecz czuło się, że tak długo trwać nie może. I ja, i Szeń — obaj z różnymi myślami — oglądaliśmy się wciąż na prawo, na góry, pomiędzy którymi przechodzi szosa Limanowa—Sącz. Ja oczekiwałem, że usłyszę tam nareszcie karabiny i armaty austriackie. Szeń patrzył z obawą, czy stamtąd nieprzyjaciel nie obejdzie naszego prawego skrzydła. Pesymista, niestety — miał — rację.

Nasz bój trwał już może ze trzy kwadransy, gdy nagle od prawego skrzydła doniesiono mi, że nieprzyjaciel wychodzi z lasów już na tyły. I istotnie po chwili usłyszeliśmy już prawie z sobą trzask karabinów maszynowych, a tryumfująca artyleria rosyjska wzmocniła swój ogień na prawe skrzydło, zaginające się mocno ku szosie, na której stałem. Nastąpiła najkrytyczniejsza chwila dnia. Dalej trwać w tym położeniu było niepodobieństwem.

Wąska, czwartorzędna szosa Limanowa—Marcinkowice była naszą jedyną drogą, która nas łączyła z naszym światem. Biegła ona w wąskiej dolince, wśród prawie nieprzerwanych zabudowań wiejskich. Z prawa, o jakie paręset kroków, wznosił się niewysoki wał, który opadał łagodnie ku południowi, formując znowu wąską dolinę. Za nią były już wyższe wzniesienia, zalesione góry, wśród których szła szosa Limanowa—Nowy Sącz. Pierwszy wał chronił od strzałów karabinów z prawa, od skraju lasów, tylko szosę, sam wał był pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych. Szosę samą zaś już nic nie chroniło od widoku z gór zalesionych. Stamtąd można było przez dobrą lornetkę policzyć każdy wóz, każdego konia i człowieka na szosie i, naturalnie, wystarczyło postawić tam baterię, aby ruch na szosie uniemożliwić.

Na lewo od szosy teren spadał w dół, formując coś w rodzaju parowu, a potem podnosił się silnie, formując górę, dosyć grubo zalesioną, lecz, jak mnie się zdawało, zupełnie zdaną dla manewrów nawet kawalerii.

Gdyśmy więc z prawa, zamiast spodziewanej pomocy, otrzymali przywitanie w postaci ognia karabinowego, oczeki-

wałem stamtąd, jako dalszego ciągu, ognia artylerii, a zarazem zajęcia pierwszego wału w tyle poza końcem mego prawego skrzydła, które już i tak walczyło na tym samym wale z frontem na południe, ku lasom na wysokich górach. Przede wszystkim więc trzeba było przedłużyć skrzydło. Poszła na to rezerwowa kompania, poszli saperzy. Jak tylko ukazali się na wale, spotkał ich gęsty ogień karabinowy.

Teraz nie było już innego wyboru. Trzeba się cofać. Przede wszystkim wyprowadzić artylerię z lewego skrzydła na tyły, tak, by ją postawić przeciwko najgroźniejszemu niebezpieczeństwu z prawa. Nie mogę tracić obcych armat. Trzeba wytrzymać, dopóki lewe skrzydło nie cofnie się z daleko wyrzuconego naprzód stanowiska. Posłałem rozkazy odpowiednie, na front zaś i prawe skrzydło polecenie, że muszą wytrwać, aż lewe skrzydło i artyleria się nie wycofa. Wtedy, lecz dopiero wtedy, stopniowo ściągając mają prawe skrzydło z wału, przerzucając je po szosie na przedłużenie skrzydła ku Limanowej.

Szło teraz o to, kto prędzej dokona swego manewru. Czy my zdążymy wycofać swoje lewe skrzydło i wzmocnić się na swoim skrajnym prawym skrzydle, czy Moskale zdążą nas obejść zupełnie i zająć wał koło szosy, na naszych tyłach. Jeżeli wyprzedzą nas Moskale, mamy drogę odwrotu odciętą. Zepchnięci jesteśmy z szosy do parowu i pod strzałami drapać się musimy na bezdrożną górę, na lewo od nas. Przy rozciągniętych do niemożliwości froncie nie może się to odbyć w porządku, więc muszą być wielkie straty albo po prostu zniszczenie całego oddziału.

I w tej właśnie krytycznej chwili otrzymałem odpowiedź od dywizji na mój ostatni raport. Odpowiedź była oryginalna. Brzmiała ona, że oddział austriacki, tam na górze się znajdujący, może tylko wówczas ruszyć naprzód, jeśli ja wpadnę na skrzydło i tyły nieprzyjaciela! Masz, babo, placek! Nieprzyjaciel mi się pakuje właśnie na skrzydło i tyły, a ja mam szukać jego skrzydeł i tyłów. Akurat w porę rada! Komunikat dodawał, że z powodu przejścia mego oddziału pod inną komendę mam natychmiast odesłać karabiny maszynowe.

Byłem przygotowany teraz na najgorsze. Dotąd jeszcze nie przeboleiałem straty kawalerii, gdzieś w głębi duszy czułem wyrzuty przeciwko sobie za tę niepotrzebną hekatombę. Narazie dusiłem je w sobie, by nie zawadzały w spokojnym dowodzeniu, lecz czułem, że tylko usuwam na czas pewien surowy sąd, który będę musiał wydać na siebie. A teraz zdawało mi się, że po ułanach przyszła kolej na innych. Czułem

dokoła siebie nerwowy nastrój, czułem i w sobie wzrastające «nerwy». Jak zwykle podsuwały one mi coraz czarniejsze przypuszczenia. Więc lewe skrzydło się cofnie. Moskale, oswo-bodzeni spod jego ognia, przejdą łatwo Dunajec, a raz prze-prawiwszy się, wpadną mi już nie tylko na prawe, ale i na lewe skrzydło. Parę sotni kozaków górą łatwo obejdzie cofającą się artylerię i piechotę, no i wówczas koło się zamknie. Nikt z nas stąd nie wyjdzie. Nie wiem co by było, gdybym był sam. Przypuszczam, że poddałbym się rozpaczy i, nie czekając końca, w łeb bym sobie strzelił. Lecz byłem w otoczeniu, gdzie wy-czuwałem «nerwy». Budził się we mnie duch przekory i wstyd. Widziałem, że wszyscy patrzą na mnie, oczekując ode mnie wyjścia z opresji. Gniołem więc w sobie całą rozpacz, by być spokojnym. Palilem papierosa za papierosem i to może było jedynym dowodem moich nerwów. Mogę jednak zapewnić, że je miałem i że skóra mi cierpła na myśl, co za chwilę stać się musi.

A tu trzeba było czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Okropnym jest czekanie! Niecierpliwość jakaś dusi, wszystko się wewnątrz burzy, by szukać jakiegoś ratunku, wymyśleć ja-kieś sposoby, by zapobiec złemu! Zwykle, gdy się temu nastrojowi poddaje, wprowadza się tylko chaos i nieporządek. A jed-nak to takie ludzkie! Czułem to w sobie i gwałtownym wysił-kiem woli zmuszałem siebie do spokoju. Zrobione już jest wszystko, jedyną rezerwą jest nasza garstka przy mnie — kilku oficerów i ordynansów. Reszta wszystko w ogniu. A ogień wzrasta. Słyszę, jak coraz częściej grzmią nawałnicowo nasze karabiny, zatem nieprzyjaciół, ośmielony powodzeniem, coraz częściej szuka zbliżenia z nami.

Wreszcie ogień naszych armat ustał — a więc rozkaz co-fania się doszedł — lewe skrzydło zaczyna się zwijać. Z tego miejsca, gdzie stoję, nie będę widział drogi, po której będą schodzić z góry. Obejrzałem się. O kilkaset metrów za mną, obok drogi, na wzniesieniu, stał kościół murowany. Odejdę tam i będę czekał na przejście artylerii. Kościół dokoła oto-czony murem, nawet nasza mała garstka może się jeszcze przez czas pewien bronić, jeżeli już sądzono nam dzisiaj zginąć. Wol-nym krokiem ze spuszczoną głową otwieram nasz odwrót. Uszedłem paręset kroków, gdy ktoś mnie szarpnął za rękaw.

— Komendancie! Grzmot z jakimś meldunkiem do Komendanta!

Obejrzałem się. Przy szosie, wyprostowany, jak struna, stał ułan, istotnie — Skotnicki. Spojrzałem na jego twarz i odechciało mi się pytać: twarz mówiła swój hiobowy raport.

Ładny, jak malowanie, chłopak, wyprostowany, salutował. Oczy miał podkrążone i wpadnięte głęboko, usta czarne, spalone gorączką. Widać było na twarzy wielką wewnętrzną walkę, by nie rozplakać się.

— Obywatelu Komendancie! — mówił. — Belina przysłała mnie po rozkazy. Dwóch oficerów i dwudziestu czterech ułanów stoi do dyspozycji Komendanta.

— Jezul — jęknęło coś we mnie — a posłałem ich stukilkudziesięciu. — Nie miałem chęci pytać o szczegóły, było to ponad moje siły. Może nawet uraziłem tym Skotnickiego, lecz przybrałem chłodną minę, tak, jakbym jego raport uważał za rzecz zupełnie prostą.

— Obchodzą nas z prawa — powiedziałem — nie mam już ani jednego człowieka w rezerwie. Sprowadzicie tu na szosę Belinę i macie przedłużyć skrzydło. Odpoczniecie potem! Chwila jest bardzo krytyczna. Dołączyć lewym ramieniem do saperów!

Nie patrzyłem na młodego oficera. Bałem się wewnętrznie wyczytać w twarzy jego ślady wyrzutu. Chłopak zasalutował, brzęknął ostrogami i odszedł. Zbliżyłem się do kościoła. Istotnie stąd można było widzieć nieco więcej.

Walczyliśmy już teraz prawie wyłącznie z frontem na południe. Chłopcy leżeli długą rzadką linią na wale, równoległe do drogi, którą cofaliśmy się. Wzdłuż nad nimi raz po raz pękały szrapnele. Z lasu naprzeciw nich spadały od czasu do czasu łańcuchy tyralierskie, ogień nasz się wzmagał i zatrzymywał atakujących. Najbliżej Moskale podeszli w najbardziej na wschód wysuniętej części frontu, niedaleko od Marcinkowic. Bliżej do mnie, ku zachodowi, było jeszcze pomiędzy liniami sporo przestrzeni. Odetchnąłem, niebezpieczeństwo nie takie jeszcze groźne, jak myślałem. Może nadążymy! Tylko teraz zaczną napierać i od wschodu, wprost na szosę. Moje lewe skrzydło, które broniło przeprawy przez Dunajec, już sporo czasu jak milczy. Obejrzałem się na lewo i spostrzegłem jeszcze dosyć daleko na zboczu pomiędzy drzewami juczne konie baterii, schodzące na dół do parowu. Jeszcze jaki kwardrans i już można zacząć związać front od Rdziostowa.

Z naprzeciwka z plebanii wyszedł staruszek ksiądz, pytając, czy nie może czym służyć. Przypomniałem sobie, że właściwie od kolacji poprzedniego dnia nic nie jadł. Przed plebanią wypilem łączywie parę szklanek mleka. Zacny ksiądz raz po raz wybiegał z mlekiem, gdy widział, że przenoszono czy przeprowadzano rannych. Było ich zresztą wciąż na szczęście niewiele.

Jeśli jednak nieprzyjaciel nie obchodził nas z bliska zbyt szybko, za to na górach koło szosy obejście było znacznie głębszym. Tam widać było na łysinach lasów grupy i grupki, znacznie dalej posunięte, niż to było na dole u skraju lasów, na zboczach gór. W paru miejscach widać było pracę koło okopów.

Wreszcie gdzieś z daleka rozległ się znany mi z boju pod Laskami cichy, lecz głuchy odgłos strzału — ciężka artyleria. Istotnie! — zaraz potem rozległ się powolny, wsrubowujący się w powietrze lot pocisku. Ten odgłos gdzieś z góry zbliża się tak powoli, że oko bezwiednie szuka go w powietrzu, a zarazem tak złowrogo i nieubłaganie świszczy i sepleni tam coś w powietrzu, jakby mówiło ono: — Nie ujdiesz! Ja, śmierć pewna, idę ku tobie, a idę powoli, nie spiesząc się, bo chcę widzieć, jak twarz ci blednie przedtem, nim umrzesz! — W tym złowrogim świście pocisków ciężkiej artylerii jest odcień chichotu, chichotu siły, złośliwej, pewnej siebie, leniwie poruszającej się i urągającej bezsilnemu człowiekowi. Nie ma w nim tego pośpiechu, gorączki i krzykliwości polowych armat i ich pocisków.

Pocisk przeleciał powoli nad nami, za chwilę rozległ się wybuch, połączony z jakimś jękiem, jakby ziemia ciężko westchnęła, przyjmując w swe łono tego potwora. Z ulgą oglądamy się wszyscy, kontrolując, gdzie padł pocisk. Z parowu za szosą podnosi się w górę fontanna ziemi, wykwitając stamtąd potwornym kaktusem.

— Kuferek!... — słyszę szepty z odcieniem szacunku do koła.

Rozstrzygam w myśli zagadkę, do czego właściwie wstrzeliwuje się artyleria: do nas, stojących przy kościele, czy do zbliżającej się do parowu mojej baterii. Po kilku strzałach jasnym już jest, że celem «kufereków» jest moja artyleria. Ściągnęła ona na siebie baczność obserwatora i teraz widać, jak raz po raz niedaleko od niej wybuchają «kufutki». Myślę z pociechą, że gorzejby było, gdyby pociski padały koło nas. Nie o nas osobiście mi szło, lecz o cały oddział, który musiałby się cofać wśród palących się chałup i zabudowań. «Kufutki» tym razem nie zrobiły żadnej szkody, przeszkodziły tylko Meisnerowi stanąć raz jeszcze na pozycji dla przykrycia cofania się piechoty. Odważny oficer spróbował znaleźć ukrycie w zalomie gruntu i już zaczął rozjuczać konie, lecz nieprzyjaciel ze swych gór doskonale mógł obserwować. Kilkanaście «kufereków» wystarczyło, by przepłoszyć konie i uniemożliwić tę

pozycję. Biedny Meisner musiał cofać się dalej, ścigany od czasu do czasu «kuferkami».

Ogień na froncie, osobiwie bliżej do Marcinkowic, wzmacnia się, specjalnie coraz silniejszym jest ogień artylerii rosyjskiej. Teraz, gdy Meisner zamilknął, jedna z rosyjskich baterii wyjechała wprost na otwartą pozycję, by wygodniej strzelać. Lecz zarazem przychodzi wiadomość, że już i moi zaczynają się cofać. Wkrótce odbieram osobisty meldunek Bojarskiego. Z jego batalionu została, jako ostatnia, kompania Milki. Gdy odchodził z resztą, ogień był bardzo silny. Moskale już się przeprawili przez Dunajec. Każę przemieścić punkt opatrunkowy dalej w tył. Jestem już znacznie spokojniejszy. Jeśli dotąd Moskale nie zdążyli nas połączyć, to może wytrzymamy do wieczora. Dzień krótki i powoli, cofając się krok za krokiem, odejdziemy. O prawe skrzydło już się nie boję, mam znowu trochę rezerwy w garści i jakoś Moskale z tej strony nie zanadto silnie atakują, pomimo swej przewagi. Bardziej zaczynam się bać teraz o lewe skrzydło, gdzie Moskale po przejściu Dunajca łatwo mogą się posuwać niepostrzeżenie dla mnie zalesioną górą. Dotąd jednak i stamtąd żadnego groźnego meldunku nie ma. Tylko tam na wschodzie szum boju stale się zwiększa. W ślad za punktem opatrunkowym odchodzę i ja ze sztabem w tył ku Pisarzowej. Staję na plebanii. Tu otrzymałem przykrą wiadomość, że Milko zabiły: szklanka szrapnelowa rozplątała mu głowę. W kompanii jego ciężkie straty, niektórych rannych nie zdążono przy cofaniu się zabrać z sobą. Lecz zarazem przychodzi pociecha. Wpada, jak bomba, Belina i widzę już z wyrazu twarzy, że po prostu wstrzymuje się gwałtem od wybuchu radości.

— Komendancie! Ułani prawie wszyscy są, straciłem zaledwie piętnastu, z nich pięciu już odesłałem do szpitala, z dzieściu nie wiem, co się dzieje.

— Więc wyszli! — podskoczyłem.

— Wyszli! Ale mieliśmy piekło! Brr!... Skąpaliśmy się wszyscy teraz w grudniu w Dunajcu i to pod karabinami maszynowymi.

Teraz dowiaduję się szczegółowo. Poszli na owe tabory i, zamiast nich, spostrzegli artylerię. Wystrzelali, co prawda, część obsługi baterii, która odprzodkowywała działa do strzału, ale wyszła na nich piechota z karabinami maszynowymi. Trzeba było się cofać, a droga koło mostu była pod strzałami z góry. Musieli trzymać się bardzo blisko góry, aby być choć trochę ukrytymi. Drobnymi grupami ułani rzucali się do Du-

najca i szli wpływ pod gradem kul na brzeg przeciwny. Było bardzo ciepło!

— Ale — dodał Belina — straciłem dwadzieścia dwa konie. Takem się cieszył z owych trzynastu kozaków, które Grzmot zdobył poprzedniego wieczora, a tu masz znowu szwadrony zmarnowane!

— Niepoprawny koniarzu! — krzyknąłem — co mi tam wasze konie! Ułani wrócili — to grunt. Kamień mi z serca spadł, rozumiecie Belina?!

— Dobrze Komendantowi mówić — «ułani» — kłopotał się Belina — co wart ułan bez konia?

Rzeczywiście kamień spadł mi z serca. Innymi już oczami patrzyłem na świat; przygnębienie minęło i od razu wraz z moralnym życiem przyszedł wściekły apetyt. Nie było jednak nic, czymbym mógł głód zaspokoić. Bagaże moje i sztabu z jakimi takimi zapasami cofnęły się za daleko, a gospodarz-ksiądz oświadczył, że nie ma nic — Moskale wszystko zabrali. Ledwie, ledwie, po długich targach otrzymałem niewielki kawałek chleba. Czułem, że ksiądz nie mówi prawdy, ale nie chciałem robić awantury, tym bardziej, że szum boju zbliżał się ku nam i ksiądz wraz z całym swoim otoczeniem gdzieś znikł i skrył się. Wyszedłem na drogę. Koło mnie posuwali się lżej ranni; ciężej rannych na wozach, wyłożonych słomą, odwożono na tyły. Biedne, drogie chłopaki! Rzadko który z nich jęczał, a nawet, gdy jęczał, zobaczywszy mnie, przestawał i starał się w jakikolwiek sposób oddać mi wojskowe honory. Zabawnym był jeden z nich.

Spostrzegłem go z daleka, gdy wychodził z izby, gdzie był punkt opatrunkowy. Młody zupełnie chłopiec szedł, opierając się o karabin, z miną niezwykle rozpromienioną. Spostrzegłem na bluzce ślady krwi; zrozumiałem, że jest raniony w piersi. Szedł spokojnym, równym krokiem i, zbliżywszy się do mnie, zarzucił karabin na ramię, by mi zaszutować.

— Z którego batalionu, chłopcze? — rzuciłem zapytanie.

— Z trzeciego, Obywatelu Komendancie!

— Gdzieście oberwali?

— W serce! — odpowiedział, a w głosie czuć było dumę z tak niezwykłej rany.

— Głupstwa gadacie! Gdzieżbyście spacerowali z taką raną?

Istotnie jednak ślady krwi na bluzce były w okolicy serca.

— Ależ, Komendancie! Nie kłamię, proszę spytać doktora! — mówił urażony. Zaśmiałem się i puściłem go dalej, a szedłem zapytać doktora. Okazało się, że chłopak miał sza-



lone szczęście. Kula przebiła mu pierś w czasie największego skurczu serca i właściwie przeszła przez miejsce w którym sekundę wcześniej czy później musiałyby zawadzić o serce. Gdy lekarze go opatrywali, przez żart powiedzieli mu, że jest ranny w serce, ale będzie zdrow. Chłopak więc miał rację, gdy się uraził z powodu mego niedowiarstwa.

Inny ranny, który mnie rozśmieszył, był Wieczorkiewicz. Spostrzegłem go, gdy opierając się o żołnierza, kusztykał na tyły. Zawolałem go do siebie.

— Co z Wami, Wieczorkiewicz?

— Noga, Komendancie! — syknął z bólu — szklanka szrapnelowa uderzyła po kostce. Wściekle boli!

Spostrzegłem, że na obu nogach ma buty, więc chyba rana nie jest ciężka.

— Zrzućcie do licha but, lżej Wam będzie!

— Istotnie! może lepiej...

Zaczęto ściągać mu but z nogi. Biedak przy każdym poruszeniu buta syczał z bólu i spostrzegłem, że mu pot występuje na czoło.

— Dajcie spokój takiemu ściąganemu — zawolałem — rozciąć cholewę i but sam spadnie z nogi. Po co się męczyć!

— Nie! nie — obruszył się ranny — nie, Komendancie! Nie psuć buta, takich dobrych butów już nigdzie nie dostanę!

Z biedą i bólem po kwadransie ściągnięto mu obuwię. Najparadniejszym było to, że istotnie ranę dostał w rękę, noga zaś była kontuzjowana przez uderzenie, lecz biedak czuł ból tak silny w nodze, że o ranie w rękę zapomniał zupełnie.

Bój powoli zacihał. Moskale zadowolili się tym, że zepchnęli nas z okolicy Marcinkowic i Rdzistowa. Widocznie musieli mieć znaczne straty i teraz porządkowali swe pomieszczone oddziały. Mogliśmy odetchnąć chwilkę i uporządkować się także. Zdecydowałem się, by cofać się zwolna aż do wyrównania naszej linii z austriacką. Powoli, metodycznie, kompania za kompanią, odchodziliśmy bez wielkiego nacisku nieprzyjaciela. Pod wieczór stanąłem w zachodnim końcu Pisarzowej, rozciągnąwszy swą linię wszczep całej doliny od podnóża Kaniny aż do wzgórza na lewo od drogi Limanowa—Marcinkowice. Bój marcinkowicki został skończony. Straty moje wynosiły 92 ludzi: najbardziej ucierpiał I batalion, który wraz z kompanią Wieczorkiewicza z III batalionu najdłużej stał w najbardziej zagrożonym punkcie pod krzyżowym ogniem artylerii i karabinów maszynowych.

Pomimo, iż dzień 6-go grudnia 1914 r. zaliczam do najcięższych, przeżytych w ciągu wojny, lubię wspominać Mar-

cinkowice, jako jedną z najładniejszych bitew, jakie stoczyłem. I tu, jak w Ulinie, wyszedłem z fałszywej, nieodpowiadającej istocie rzeczy podstawy. Byłem, mianowicie, przekonany, że nieprzyjaciel cofa się i opuszcza Nowy Sącz akurat wtedy, gdy w rzeczywistości odwrotnie — dnia tego rozpoczynał się atak na większą skalę. Nie chcę twierdzić wcale, że jest dobrym na wojnie wychodzić z fałszywej podstawy i błędnie szacować działania nieprzyjaciela. Biorę bój marcinkowicki tylko jako przykład tej starej, odwiecznej prawdy o wojnie, prawdy, którą formułuję tak, że działanie wojenne to rozwiązywanie równań, gdzie liczba niewiadomych ogromnie przewyższa ilość równań samych. Zresztą, gdyby kto mnie chciał źle sądzić, tobym odpowiedział, że mnóstwo wielkich wypadków wojennych zawdzięcza swe istnienie jedynie wskutek przyjęcia fałszywej podstawy. Wspomnę tylko o jednym przykładzie — o wielkim zwycięstwie marszałka Davout pod Auerstädem. Marszałek jedynie dlatego był tak śmiały, bo był przekonany na podstawie błędnych dyrektyw Napoleona, że miał przed sobą 14 października 1806 r. nie główną armię pruską, lecz jakąś boczną jej osłonę. Nie mając zresztą zamiaru przyrównywać się do tych wielkich postaci wojennych, powiem, że byłem również tak śmiały jedynie na skutek przypuszczenia, iż mam przed sobą cofające się oddziały rosyjskie. I wyznam, dotąd nie mogę zrozumieć zachowania się Rosjan wieczorem dn. 5-go i w nocy z 5-go na 6-ty. W każdym razie było ono takim, iż do śmiałości zachęcało.

Dzisiaj, gdym Marcinkowice już zupełnie na chłodno z dziesięć razy przemyślał i przeanalizował, znajduję tylko jeden fakt, który powinien był mnie uczynić ostrożniejszym, a który oceniłem fałszywie jedynie dlatego, że wszystkie inne fakty dawały mi obraz inny. Idzie tu o charakter turkotu, który słyszałem na górze Rdziostowskiej. Tabory rosyjskie, a i chłopskie wózki, które mogły być tu użyte, nie dawałyby odgłosu tak ciężko ładowanych wozów, jak ten, któryśmy słyszeli w Rdziostowie. Ale i tutaj brak odpowiedzi na naszą zaczepkę, nadzwyczajnie dla artylerii prowokacyjną, nie dopuszczał myśli, aby obok nas maszerowało wojsko, idące do ataku. Powtarzam, nie znajduję dobrego wytłumaczenia zachowania się nieprzyjaciela tej nocy. Bo przecie III rosyjski korpus przemaszerował spiesznymi marszami do Nowego Sącza i okolic nie dlatego, aby mnie z moim małym oddziałem zwodzić.

Położenie strategiczne było wówczas nadzwyczaj naprężone dla obu stron i z przyjemnością myślę o tym, że dzięki

mojej śmiałości i dzielnemu zachowaniu się moich paru batalionów pomogłem dużo tej stronie, po której walczyłem. Odwrotnie — Rosjanie przez swoje niezręczne prowadzenie sprawy stracili dużo. Wówczas, dn. 5-go grudnia, atak wojsk austriackich i niemieckich (47-ma dywizja «landwehry»), prowadzony na północ w kierunku Bochni, wyraźnie się zaznaczył. Nasze słabe oddziały pod Limanową były przykryciem ich skrzydła i tyłów. Wzmocnienie naszego odcinka i wojsk, atakujących na północ, odbywało się bardzo powoli. Jeszcze 8 grudnia pod Limanową była to mieszanina najrozmaitszych formacyj landszturmowych, nie wyłączając «financów» i «żandarmów». I oto w tej krytycznej chwili przychodzi VIII korpus, siła, znacznie przewyższająca wszystko, co pod Limanową tego następnego dnia mogło być zebrane. Część tego korpusu maszeruje prawym brzegiem Dunajca do doliny Łososiny — doliny, która szła za górą, za naszym lewym skrzydłem podczas bitwy marcinkowickiej. Że Moskale spieszyli się, tego dowodzi ich wymarsz z Nowego Sącza. I oto na swej drodze napotykają mnie na górze Rdziostowskiej, absolutnie panującej nad prawym brzegiem Dunajca, po którym marsz się odbywa. Napotykają nas jedynie dlatego, że lekkomyślnie dopuszczono bym tę górę zajął. Marsz Rosjan się przerywa, aby mnie odzucić na bok.

I tu właśnie jest ciekawym, jakich sił użyto dla osiągnięcia celu. Ja oceniałem całość sił, wprowadzonych do boju, na 3—4 bataliony, tzn. na dwa razy większą liczbę batalionów, niż moja. Ponieważ zaś bataliony rosyjskie niechybnie były liczniejsze, niż moje, więc rachowałem, że mam do czynienia z 2½ do 3 razy silniejszym nieprzyjacielem. Lecz nazajutrz wzięto do niewoli kilku żołnierzy rosyjskich, których rozpytywałem o cały przebieg bitwy. Okazało się, że przeciwko mnie rzucono dwa pułki, więc 8 batalionów, w rezerwie zaś za rzeką zatrzymano w marszu jeszcze jeden pułk (4 bataliony). Walczyliśmy więc właściwie 1 przeciwko 5, może 6, związaliśmy zaś w ruchu prawie całą dywizję, czyli prawie połowę tegoż VIII korpusu.

Następnie, moja akcja przyniosła zysk na czasie. Wobec tego, że posiłki na nasz front przybywały bardzo wolno, więc wszelka wygrana na czasie była bardzo pożądana. Jeszcze 8-go grudnia byliśmy pod Limanową słabsi od nieprzyjaciela, cóż zaś mówić o 6-tym. Otóż 6-go nieprzyjaciel, nie będąc zatrzymanym przeze mnie, byłby doszedł pod samą Limanową, tym czasem przez nierówny bój marcinkowicki i nocną eskapadę artyleryjską został zatrzymany o całe 16 godzin, 16 godzin,

tak cennych przy powolnym działaniu kolejowych komunikacji na tyłach. Jest to zasługa przede wszystkim moich chłopaków, którzy walcząc 1 przeciw 6 przez cały dzień, cofnęli się tylko o 12 kilometrów, zatrzymując cały czas na sobie ogromną przewagę nieprzyjaciela. Nie mogę jednak nie przyznać, że nie mała część zasługi spoczywa na mnie i to głównie z powodu śmiałości rzucenia się na górę Rdziostowską, ostrzeliwania nocnego Sącza i maszerujących kolumn, wreszcie z powodu rzutu kawalerii na Dunajec.

Śmiałość daje swoje efekty wszędzie, specjalnie na wojnie. Zmusza ona do fałszywej oceny sił, fałszywej «in plus» dla śmiałego. Jestem mocno przekonany, że Rosjanie przeceniali moje siły tak samo, jak ja ich niedoceniałem. Byli więc zanadto ostrożnymi, zanadto powolnymi w działaniach, — jednym słowem, tracili dużo czasu, obawiając się fantomów, nie rzeczy realnych. Ten zaś ich stan psychiczny wywołany był działaniem śmiałym, które kazało im przypuszczać, że rozporządzamy odpowiednią siłą. Inaczej nie mogę sobie zupełnie wytłumaczyć całej bitwy, ani też tego, żeśmy wyszli z niej cało, gdy wszystko: liczba, teren, przewaga artylerii — wszystko przemawiało za tym, abyśmy zostali zgnieceni i zniszczeni przez wroga. Z chwilą, gdy nie przerwałem boju po moim wyjściu z Marcinkowic i rozwinąłem wszystkie swoje siły, byłem, zdaniem moim, według wszelkich zimnych i chłodnych rachub skazany wraz z całym oddziałem na zagładę. Zostaliśmy zaś ocaleni jedynie dlatego, że do tej zimnej rachuby, do tych matematycznych i technicznych równań wrzucone zostały nieważkie, niematerialne i nie dające się w liczbach i miarach wyrazić czynniki psychiczne: śmiałość nasza i wywołana nią ostrożność i powolność przeciwnika, niedocenywanie i przecenianie nieprzyjaciela u kierowników boju, wreszcie dzielność naszych żołnierzy. Pod tym względem bój marcinkowicki zawsze pozostanie dla mnie przeżytym przykładem wielkiego znaczenia na wojnie czynników psychicznych, tak trudno dających się obliczyć i opanować.

Wracając do szczegółów boju, przede wszystkim interesował mnie zawsze skutek nocnego ostrzeliwania Sącza tylko według względnie niedokładnej mapy bez poprzedniego wstrzelenia się do celów, tak, na chybił-trafił. Mając na celu tylko psychiczne wrażenie na nieprzyjacielu, nie liczyłem wcale na wielkie powodzenie. Kiedy potem w kilka dni wreszcie trafiłem do Sącza, rozpytywałem o tę noc i o skutek strzelania. Wypadek chciał, — bo, naturalnie, o celnym strzelaniu mowy być nie mogło — że jeden z pierwszych granatów padł szczęśliwie

na baterię artylerii, stojącą niedaleko od mostu, uszkodził jedno działo i poranił kilku artylerzystów. Koło mostów zostało też rannych i zabitych kilku żołnierzy. Wywołało to popłoch w komendzie, która kazała gasić światła i zaczęła robić poszukiwania za telefonem, gdyż nie przypuszczano, aby tak celne strzały mogły być wypadkowe. Sądzono, że kieruje nimi ktoś telefonicznie z miasta. Opowiadano mi też o tym, że jeden z granatów wpadł do domu, zajętego przez żołnierzy, lecz nie wybuchł i oprócz dziury w dachu i suficie szkody innej nie zrobił.

Co się tyczy mego niefortunnego rzucenia ułanów za Dunajec w pogoni za rzekomymi taborami, to przyniosło ono nieprzyjacielowi dużo szkody. W Nowym Sączu opowiadano mi, że już rano przywieziono do miasta bardzo dużo rannych, a pomiędzy nimi było wielu artylerzystów i to oficerów. Tym więc razem śmiałość zrobiła swoje. Zatrzymała nieprzyjaciela i osłabiła go w tym, czym najsilniej mógł nam dać odczuć swą przewagę — dobrze prowadzonym ogniem artylerii. Na swoje przed sobą usprawiedliwienie zawsze przytaczam fakt, że nie byłbym puścił kawalerii, gdybym nie był pewien, że most, a zatem i najbliższe otoczenie mostu jest przez nas opanowane. Nigdy nie przypuszczałem, aby saperzy zadowolili się zwyczajną policyjną obsadą mostu i pozwolili, aby nieprzyjaciel tuż koło mostu wlaźł na górę, spokojnie na niej się okopał i postawił tam karabiny maszynowe, które panowały zarówno nad mostem, jak nad całą rzeką, przez którą przy odroście przeprawiali się wplaw moi ułani. Na początku wojny nieraz miałem do czynienia z takimi niedostatecznie przemyślanymi czynnościami wśród dzielnych skądinąd oficerów. Dopiero po pewnym czasie doświadczenie wojenne nauczyło ich oceniać sytuację i teren, tak, że nie trzeba było nigdy tłumaczyć, jak dany rozkaz wypełnić należy. Może być, że błędem moim było niewzięcie dostatecznie pod uwagę tego braku doświadczenia, jak również wydanie rozkazu, nie rozwijającego szczegółowo, na czym polegać ma zabezpieczenie mostu przez saperów.

Jak ułani wyszli z tego piekielnego kociołka, do którego ich wepchnąłem, zrozumieć trudno; wszystko przemawiało za tym, że stanie się tak, jak brzmiał pierwszy meldunek Skotnickiego. Lecz i straty w piechocie były stosunkowo małe. W ciągu całego dnia walczyła ona jeden przeciwko sześciu, stała godzinami na pozycji nieokopanej, miała front, ułożony z konieczności tak, że większość jej była pod skrzydłowym ogniem paru baterij. A mimo to straciłem tylko stu ludzi — zatem pięć procent całego oddziału. Moskale, co prawda, strzelali według sta-

rej mody salwami. Salwami do leżącej piechoty! Nic dziwnego, że tym razem sprawdziły się filozoficzne słowa mego adiutanta Dzieduszyckiego, który zawsze twierdził, że kula ma skłonność do spacerowania powietrzem dookoła człowieka. Dzieduszycki był tym razem w zgodzie z dowcipnym i inteligentnym obserwatorem wojny, gen. Hamiltonem. Ten, patrząc się na atak sławnej brygady japońskiej gen. Okasaki, spostrzegł, jak grad kul rosyjskich otoczył po prostu kurzem idącą do ataku japońską piechotę, a z atakujących przewracało się bardzo mało, tak, jak gdyby kule umyślnie były wycelowane w przestrzeń pustą pomiędzy ludźmi. Filozoficzna uwaga przy tym gen. Hamiltona brzmiała nieco inaczej, niż u Dzieduszyckiego. Dodaje on mianowicie z pewną ironią: «Zauważono, że zwykle bywa tak, gdy wojsko źle strzela». Sądzę, że i pod Marcinkowicami uwaga Hamiltona tłumaczy wszystko.

Spomiędzy rannych i zostawionych na polu przy cofaniu się znaleźliśmy wszystkich. Jednych spotkaliśmy w Nowym Sączu w szpitalu, gdzie ich zostawili Moskale przy ostatecznym wycofaniu się z miasta. Innych poukrywali u siebie włościanie, przebierając ich po swojemu. Opowiadano mi o zabawnym epizodzie, gdy chytry góral wyprowadził w pole prostodusznych braci z nad Wołgi. Góral ukrył u siebie jednego z rannych moich chłopców i położył go u siebie w chacie. Gdy nadeszli Moskale i chcieli wejść do chaty, zawołał na nich: — Ostrożnie, tam leży człowiek chory na cholere! — Otworzyli tylko drzwi i, zobaczywszy istotnie chorego na łóżku, uciekli. Do tej «cholerycznej» chaty zakazano potem chodzić, izolowano ją, pozostawiając rannemu swobodę. Jeszcze jeden dowód serdecznego do nas stosunku Podhalan!

Straty Rosjan musiały być znacznie większe. Nie mówię o stratach, które ponieśli w początku boju przy starciu z kawalerią, ale parokrotna, nieudana próba przejścia pod ogniem Dunajca musiała kosztować niemało ofiar. Atakujący od Rdziostowa nie byli również jakoś zbyt pochopni do szybkiego zbliżenia się z I batalionem, musiały więc też zatrzymywać ich straty. Nie potrafię, naturalnie, orzec teraz, czy uwaga Hamiltona zastosowałyby się nie dała i do nas pod Marcinkowicami i czy nasze kule tak samo nie miały skłonności do szukania sobie drogi pomiędzy ludźmi. Muszę jednak przyznać, że ogień nasz sprawiał wrażenie znacznie bardziej celowego i porządnego, niż rosyjski. Nie mówię już o całkiem dziwnych salwach, które ze strony Rosjan raz po raz się rozlegały, lecz o tym, com mógł skonstatować z oddali. Ożywienie naszego ognia czuć było wtedy, gdy się ukazywały cele dla niego, i za-

mierał on, gdy nie było właściwie po co psuć nabojów. To świadczyło o rozsądnym prowadzeniu ogniowego boju, a zatem przypuszczalnie i o skutkach jego.

Nazajutrz — 7-go grudnia — miałem sposobność oglądać zjawisko ciekawe i takie, którego prawdopodobnie już żaden z wojskowych nie zobaczy. Mianowicie — naszą «dymną» artylerię przy pracy. Rosjanie atakowali nas i nazajutrz — prawie na całej linii. Specjalnie próbowali obejść moje lewe, wiszące całkiem w powietrzu, skrzydło. Ześrodkowałem tam na wszelki wypadek rezerwę, a bój sam prowadziła właściwie artyleria. Meisner ze swymi nowoczesnymi armatami stanął znacznie dalej, dobrze ukryty, i stamtąd prażył nieprzyjaciela. Brzoza ze swymi ośmiu armatkami nie mógł pójść w jego ślady, musiał stanąć prawie za własną piechotą na pozycji, prawie zupełnie odkrytej i widocznej dla Rosjan.

Gdyby zresztą można było ukryć armatki za jakimś załomem gruntu, byłoby to zupełnie nieużytecznym, bo armaty dymiły haniebnie. Było zabawnym patrzeć na te «werndle na kółkach». Wyglądały one, jak złe pieski na uwięzi. Za każdym strzałem taki potworek podskakiwał, jak na łańcuchu, i śmieśnie przewracał się lub odskakiwał w tył. Chłopcy, którzy przy nich pracowali, wciągali znowu potworka na należyte miejsce, pakowali weń nabój i... znowu to samo. Pagórki na prawo od szosy — gdzie właśnie stała artyleria Brzozy — dymiły, jak wulkany. I dziwna rzecz — artyleria rosyjska słała pocisk za pociskiem ku Meisnerowi, zostawiając całkiem prawie bez uwagi tak jasno widoczne cele. Od czasu do czasu pękł nad artylerią Brzozy jakby zabłąkany szrapnel. Chłopcy przy armatach pracowali szalenie i mieli ten rzadki dla artylerii zaszczyt, że pracowali w ogniu karabinowym, gdyż dla osiągnięcia nieprzyjaciela musieli stanąć blisko do niego. Przecie karabiny swą dalekonośnością przewyższały tę «polską» artylerię. Mam cały szacunek dla oficerów i żołnierzy z artylerii. Wyznam otwarcie, że nie należę do rzędu ludzi tchórzliwych, a jednak pomimo ciekawości trzymałem się od swoich armat w należyтым oddaleniu. Wydawało mi się koniecznym, że ściągną one na siebie cały ogień artylerii rosyjskiej, tak widocznymi były na całym prawie polu bitwy. Tym bardziej powinny były wywołać reakcję ze strony nieprzyjaciela, że praca artylerii była skuteczną; kilka razy Rosjanie podsuwali się do naszego lewego skrzydła i za każdym razem spotykał ich prawdziwy huragan szrapneli i granatów, za każdym razem cofali się z powrotem. A jednak, powtarzam, pozostaje faktem, że artyleria rosyjska nie raczyła ostrzeliwać naszych armat.

Ciągle oczekiwałem, że zwali się na nie cały ciężar ognia przeważającej artylerii. Nie! Do końca dnia Rosjanie pozostawili Brzozę w spokoju. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć tego zjawiska inaczej, jak przypuszczeniem, że obserwatorzy rosyjscy brali kłęby dymu za maskę i oszukaństwo i w tych wulkanach i błyskach nie podejrzewali artylerii. Brzoza strzelał za pamiętane — postanowił on wystrzelać całą amunicję. Wiedział, że już więcej tej amunicji nie ma nigdzie, przypuszczał więc, co okazało się słusznym, że może to da asumpt do zmiany armat na bardziej nowoczesne. Istotnie, po bitwie pod Pisarzową powędrowały wreszcie nasze «werndle na kółkach» tam, gdzie powinny się były znajdować od dawna, do muzeów artyleryjskich i na szmelc. Nasze szczęście doprawdy, że nie było większych zapasów amunicji do tych przestarzałych armat, jestem bowiem przekonany, że w znacznie cięższych bojach później występowałibyśmy wciąż z naszymi «werndlami», upiększając dymem prochowym nowoczesne bezbarwne pola bitew! Po Pisarzowej Meisner mówił mi, że po prostu oczom swoim nie wierzył, gdy zobaczył nasze armaty. Po bitwie marcinkowickiej nabrał on wielkiego respektu dla naszej piechoty, której w najcięższych wypadkach zaufać można, ale jako artylerzysta jeszcze bardziej poczył szanować naszych artylerzystów po tym, co widział w Pisarzowej. Miał on ciągle te same uczucia, co ja, oczekiwał lada chwila zniszczenia naszych armat przez huragan pocisków rosyjskich, gdy taki wdzięczny cel na polu bitwy się ukazał. A jednak! jednak artyleria wyszła cało, tak, jak dnia poprzedniego wyszła cało kawaleria i cały oddział. Mieliśmy jednak, trzeba przyznać, dużo szczęścia na tej wojnie!

Z pobytu w Pisarzowej pamiętam jeszcze przykre spotkanie z rodakami. Na wieść, że moje lewe skrzydło jest zagrożone, wysłano mi, jak się później dowiedziałem, na pomoc dwie kompanie landszturmu polskiego, świeżo sformowanego i naprędce zebranego. Dowodzili tymi kompaniami jacyś równie przestarzali, jak nasze «werndle na kółkach», lejtnanci rezerwowi, «rodacy». Przywędrowali oni, naturalnie, gdy było już po wszystkim, gdy wieczór położył koniec wszelkim zakusom obejścia naszego skrzydła. Nie o tę spóźnioną jednak pomoc idzie mi w tym wypadku, lecz o stosunek tych panów do nas. Spotkanie z nimi było tak charakterystyczną ilustracją stosunków, z jakimi mieliśmy do czynienia, że warto je opowiedzieć szczegółowiej. Było to już wieczorem, gdy otrzymałem rozkaz o cofnięciu całej linii bliżej do Limanowej i o przeję-



ściu moim do rezerwy. Zjedliśmy już kolację i przy papierosach i gawędce czekałem ze swoim sztabem na ściągnięcie wojska i na konie. Nagle do pokoju wkroczyły dwie czy trzy postacie w austriackich uniformach — byli to owi dowódcy kompanij landszturmowych. Żaden z nich nie zameldował mi się, jako starszemu od nich oficerowi, ba — żaden z nich nie raczył się nawet przedstawić. Była w nich straszna duma z powodu uniformu, który mieli na sobie, i straszne lekceważenie w stosunku do «bandy», nie mającej tak wysokich, jak oni, przywilejów. Byli przy tym dostatecznie nieokrzesani i niekulturalni. Zaczęli coś bąkać o tym, że przyszli do «rodaków», że chcą się czegoś dowiedzieć i po długich wywodach powiedzieli coś niewyraźnego o pomocy, jaką mają nam okazać. Paru moich oficerów skoczyło, by ich wprost wyrzucić za drzwi — tak oburzającym było to nieprzyzwoite ich pod względem wojskowym i towarzyskim zachowanie się. Powstrzymałem moich oficerów. Gdyby byli to nie Polacy, chętniebym zezwolił na zrobienie przykrości takim gościom, lecz tu brała mnie chętka wypicia kielicha goryczy «polskiego żołnierza» do dna. Nie pierwszy raz spotykałem ten stosunek ze strony «rodaków», dumnych z tego, że są żołnierzami nie w «polskim» uniformie. Oświadczyłem im więc tylko krótko, że pomoc ich jest zbyt dużą i że mogą sobie iść, gdzie im się podoba. Gdy wyszli z kwatery, wyskoczyli jednak za nimi moi oficerowie i dali im na dworze nauczkę odpowiednią. Porównuję ten wypadek zawsze z innym, gdym na Wołyniu miał do czynienia z batalionem pruskim, przysłanym mi również na pomoc w ciężkiej chwili. Dowódca tego batalionu, bardzo miły kapitan, ani chwili w swym postępowaniu, nawet w drobiazgach, nie zostawiał wątpliwości, że stoi przed swoim dowódcą, ani jednej chwili nie zmuszał mnie do dyplomatyizowania, gdy czas był jedynie na rozkazy i na niewzbudzające wątpliwości wzajemne stosunki. Tak, ale to był pruski kapitan, tu zaś byli wtedy polscy lejtnanci rezerwowi z Galicji!

Jeszcze tej nocy stanęliśmy w Limanowej. Cały mój oddział (V batalion też wrócił z ekspedycji) był w rezerwie, na odpoczynku. Miałem kwatery we wschodniej części tego miasta, bliższej do nieprzyjaciela, a więc przez Austriaków i mnie zajętej. Sam ze swym sztabem zatrzymałem się u miejscowego, zdaje mi się, lekarza. Dawno takich wspaniałości nie oglądałem. Czysta pościel, jasno oświetlone pokoje, obrusy na stołach, dużo wody do mycia. Przyjemna kwatera. Odpoczywałem po przejściach marcinkowickich.

Wieczorem Moskale zaczęli ostrzeliwać Limanowę i po-

zycje dokoła miasta. Zaczął się wielki bój pod Limanową. Na razie szły lekkie pociski, szrapnele pękały we wszystkich kierunkach. Na naszym podwórzu pomiędzy innymi padło ich kilkanaście. Jedliśmy zrazu spokojnie i wesoło kolację. Lecz wkrótce przyszły ciężkie granaty. Znowu zajęczała dokoła ziemia, a zaraz potem rozeszła się nagle pogłoska, że austriackie wojska opuszczają pozycje. Skoczyłem od kolacji. Wysłałem zaraz oficerów do miasta, by zbadali sytuację, gdyż żadne rozkazy ani wyjaśnienia nie przychodziły do mnie.

Wkrótce zaczęli wracać moi oficerowie z meldunkami. Miasteczko, opuszczone istotnie przez sztaby i tabory, pali się gdzieś koło kościoła, a z różnych stron z gór okolicznych schodzą luźni żołnierze, przeważnie polscy landszturmacy, mówiący, że Moskali jest dużo i że są bardzo blisko, tak blisko, że do nich strzelać nie można. Żołnierze ci nadciągają z różnych stron, więc nie można zrozumieć, skąd właściwie grozi największe niebezpieczeństwo. Zaalarmowałem oddział i rozesłałem tym razem konnych na linię dla sprawdzenia stanu rzeczy. Przywieźli mi uspakajające wiadomości. Nie wytrzymały ognia tylko niektóre kompanie landszturmowe — podejrzewam mocno, że były to kompanie moich znajomych z poprzedniego dnia, — reszta wojska stoi na pozycjach, a ogień artylerii w miarę zapadania ciemności ustaje.

Był to jedyny wypadek, gdym widział źle bijących się Polaków, i dlatego tak mi utkwiał ten fakt w pamięci z tym charakterystycznym dla złego, ale szczerego żołnierza, ujęciem sytuacji: nie mógł strzelać, bo nieprzyjaciel był za blisko.

Tego wieczora, a raczej nocy otrzymałem rozkaz udania się na skrajne prawe skrzydło dla przykrycia górskich przejsów w kierunku Mszany Dolnej, przez którą szły nowe transporty wojskowe. Pokazała się tam, jak mówiono, bardzo liczna kawaleria rosyjska. Jeszcze przed ranem odmaszerowałem do znanej mi Słopnicy Królewskiej, by iść dalej na południe ku Kamienicy, która była już w rękach Moskali.

Wychodziłem z Limanowej ze złymi przeczuciami co do wyniku rozpoczynającej się bitwy, dlatego też misja osłonięcia prawego skrzydła bardzo mi się uśmiechała. Stawałem znowu na komunikacji z moimi własnymi tyłami — z Nowym Targiem. Postanowiłem dotrzeć do Kamienicy i wziąć w swe posiadanie drogę na Krościenko do Nowego Targu. Udało mi się to nadspodziewanie łatwo. Wystarczała wtedy na tym odcinku prawie zawsze kawaleria, aby odepchnąć jazdę rosyjską, która cofała się bardzo łatwo. Była to 10-ta dywizja jazdy rosyjskiej pod gen. Kellerem.

Zostawiła ona złą sławę w tej okolicy. Gen. Keller nie zabraniał żołnierzom hulać, ani pić. Wszędzie słyszałem skargi z powodu postępowania jego żołnierzy. Jest to ciekawym, jak wiele może dowódca na wojnie. Poprzednio na tym samym terenie miałem do czynienia z dywizją gen. Dragomirowa, który starał się ostro trzymać swe wojsko w karchach, by nie dopuszczało się grabieży. Przy paru zabitych podoficerach z jego oddziałów znalazłem rozkazy dywizyjne, grożące sądami polowymi nawet tym, którzy dopuszczają się na gwałtu na Żydach. A przecie turbowanie ich leży prawie we krwi Rosjan. Skarg ludności na dywizję Dragomirowa słyszałem bardzo mało. 10-ta dywizja zachowywała się znacznie gorzej.

Ogólnie jednak muszę zaznaczyć, że po tym, com sam widział, nie mógłbym uważać armii rosyjskiej za taką specjalistkę w grabieży, za jaką jest okrzyczana. Niewątpliwie prawie u każdego złapanego kozaka można było znaleźć zagrabione gdzieś tasiemki, trochę pieniędzy, nawet tombakowych guzików od liberii, które prawdopodobnie w oczach syna Donu uchodziły za złoto. Ale widziałem tyle gorszych rzeczy na wojnie!...

Pesymistyczne moje przypuszczenia co do wyniku bitwy limanowskiej powstrzymały mnie od tego, bym się teraz tak angażował, jak to robiłem w Marcinkowicach. Zadowolilem się tym, że spełniłem rozkaz i, wyrzuciwszy Moskali z Kamienicy, zabezpieczyłem wszystkie podejścia przez góry do kolei Chabówka—Limanowa. A szkoda! Okazja, zdaniem moim, była wspaniała. Gdybyśmy wtedy uderzyli w kierunku Nowego Sącza, sądzę, że wiele szkody nieprzyjacielowi, a sławy memu oddziałowi dałoby się przysporzyć w przeciągu tych dwóch dni, podczas których leżałem prawie beczynnym w Kamienicy. Nikt mnie o niczym w tym czasie nie zawiadamiał i gdyby nie specjalne patrole, które wysyłałem na północ ku Limanowej, mógłbym, zdaje się, i tydzień cały przesiedzieć w Kamienicy lub Łącku, który potem zdobyłem. Kiedym się obejrzał, że Moskałe są pobici, było już za późno na jakiegokolwiek znaczniejsze czyny. Nawet pościg, który zarządziłem, nie dał już rezultatów, doprowadził mnie jedynie szybciej, niż by to było w innych warunkach, do Nowego Sącza.

Tym razem wchodziłem do miasta bez poprzedniego ostrzeliwania. Wchodziłem spokojnie, jak za czasów pokoju. Przyjemne to było wejście do miasta, miałem tylko dużo kłopotu ze swoją kasztanką. Wysłałem do Nowego Sącza naprzód swoich ułanów, sam zaś maszerowałem z piechotą. Belina doniósł mi, że w mieście przygotowują specjalną owację na cześć

moją i mego oddziału. Podjeżdżałem do miasta już wieczorem. Kasztanka już na moście na Dunajcu, podziurawionym przez wybuchy, kręciła głową, uważając, że jest zanadto niebezpieczny dla jej szanownego istnienia. Za mostem wjazd do ciemnej ulicy z nieprzyjemnie brzmiącym pod podkowami brukiem powiększył jej przykrości. Z trwogą nastawiła już uszy. Lecz wreszcie rynek. Jasno oświetlony, czarny od tłumy. Gdym się na nim na kasztance ukazał, rozległ się krzyk całego tłumu i padły paciorki z kwiatów. Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Niemało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, nieledwie zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe stworzenie szukało ucieczki. Musiałem kasztankę ciągle pchać naprzód, tak, iż po wyjeździe z rynku poznałem i ją, że owacja coś kosztuje. Czułem doskonale, że mam nogi, tak miałem je zmęczone.

Nowy Sącz przyjął nas nadzwyczajnie serdecznie. A te rozkosze «wielkowiejskie»! Elektryczne światło, kawiarnie, wanna, fryzjer. Zgoliłem sobie tam brodę, którą utrzymać w porządku na wojnie jest nadzwyczaj trudno. Bawili mnie potem moi żołnierze, którzy przy spotkaniach na ulicy udawali, że mnie nie poznają. Oddawali mi honory z rozmyslnym ociąganiem się, by mieć okazję do przeproszenia, że wskutek zgolenia brody nie mogli mnie jakoby od razu poznać. Oficerowie mówili mi, że wśród żołnierzy postanowiono przy pierwszym marszu wołać za mną: «Oddaj brodę!» Na szczęście, nie przyszło do tego.

Do Nowego Sącza, już po moim wyjeździe stamtąd, ściągnęły i oddziały z Nowego Targu. Mój plan obrony doliny Nowotarskiej, jako ostatniej piędzi ziemi polskiej, chwała Bogu, nie doszedł do skutku i podhalańska moja, wymarzona w ciągu listopada, krwawa epopea ograniczyła się wstępem do niej w bojach Limanowa-Marcinkowice.

## NOWY KORCZYN—OPATOWIEC

Pierwsze boje, pierwsze zetknięcia z wojną! Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie było w tym tak dużo rozrzewniającej poezji, jak w młodzieńczej pierwszej miłości, w pierwszych pocałunkach. Lecz tych najwcześniejszych moich zetknięć się z wojną nie poruszę. Na razie to zanadto mnie boli.